

KAMIEŃ

LUBLIN

28.II.1963

Nr 4 (266)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

ONI

WALDEMAR BABINICZ

LONDYŃCZYK wychodzący rano do miasta, komunikuje domownikom, iż ma ważne sprawy do załatwienia w City. Jeśli ktos pokrzyżował jego interesy, kiwa głową i oświadcza, że wszystkim są winni ci panowie z City. — Krach na giełdzie? Wiadomo: ci z City już coś nabroili. — Interesy nie układają się pomyślnie? Oczywiście: City. City to w oczach przeciętnego mieszkańca Londynu skomplikowane skrzyżowanie finansjery, rekinów handlu, przemysłu, pośrednictwa i polityki. To niekiedy pojęcie abstrakcyjne, za którym z reguły kryją się anonimowe postacie, cyfry, spółki akcyjne, które decydują o losach milionów ludzi, a także o menu prostego człowieka. Bo jeśli u mieszczucha wśród wigilijnych potraw tradycyjnych nie znajdzie się indyk, to oczywiście pokreślił, naszawoilił ci panowie z City. Nigdy nie zdarzyło się, aby obywatel Londynu utożsamiał pojęcie City z określoną, zmaterializowaną postacią czy firmą.

A u nas? Nie ma City, ale jest enigmatyczny, bliżej nie sprecyzowany zaimek ONI. Odmienia się go bezbłędnie przez wszystkie przypadki nawet i w tych domach, gdzie gramatyka jest rzadkim gościem.

Niech się oni sami martwią. Czy to ja jestem winien, że oni nie przewidzieli? To oni przecież planują. Z nimi tak zawsze: coś bąkną, a potem choć bierz i płacz. Nie znasz ich? Bo to ich boli? Oni mają wszystko, nie bój się. Jeżeli oni milczą, to pan będzie się wyrywał? Może by tak jednak pójść do nich? Ostatecznie i ich chyba bolą te sprawy. A gdyby tak do nich napisać? Podobno rozpatrują każdy list...

Kto używa tej odmiany zaimka? Dużo ludzi. Na różnych szczeblach drabiny, w różnych środowiskach, ludzie różnego autoramentu, przeważnie jednak tacy, o których mówi się zwykle, że są niezaangażowani. Choć nie zawsze. Zdarza się i wśród zaangażowanych usłyszeć coś niecoś o NICH.

Oni to na dobrą sprawę pojęcie tylko pozornie łatwe do zdefiniowania. Niezaangażowany inteligent siedzący w domu, mówiący ONI ma na myśli 1) Włodzimierza Sokorskiego, który odpowiada za repertuar teatralny Polskiego Radia i TV, za fatalny odbiór i zakłócenia, za wyglupy nieślubianych konferansjerów, za mylne prognozy meteorologiczne i za „w ogóle”; 2) wydział kwaterunkowy, w którym z reguły panuje bałagan i umacnia się korupcja; 3) niedoświadczonych facetów przy biurkach, którzy nie mają żadnego pojęcia i matury.

Urzędnik w GRN mówi oni o wszystkich referentach i kierownikach wydziałów z przewodniczącym prezydium PRN włącznie.

Chłop — przede wszystkim „tych drani z GS-ów”, ich kumotrów od najniższego do dość wysokiego szczebla i

oczywiście urzędników z Wydziału Finansowego.

Duchowy emigrant polityczny — wojewodów, ministrów, premiera, prezydenta itd.

W pięćdziesiątym siódmym roku pewna pani zobligowała mnie, abym pośredniczył w audyencji z panem wojewodą. Kiedy powiedziałem, że dziś tytuł ten nie istnieje, że są przewodniczący prezydiów WRN, klasnęła w dłonie: „Jak to? To oni nawet wojewodów nie mają?” Audyencja doszła wprawdzie do skutku, ale pentetka tytułowała swego rozmówcę „panem wojewodą”.

(Dokończenie na str. 2)

JUŻ NIE W OGOŃ

JERZY DOSTATNI

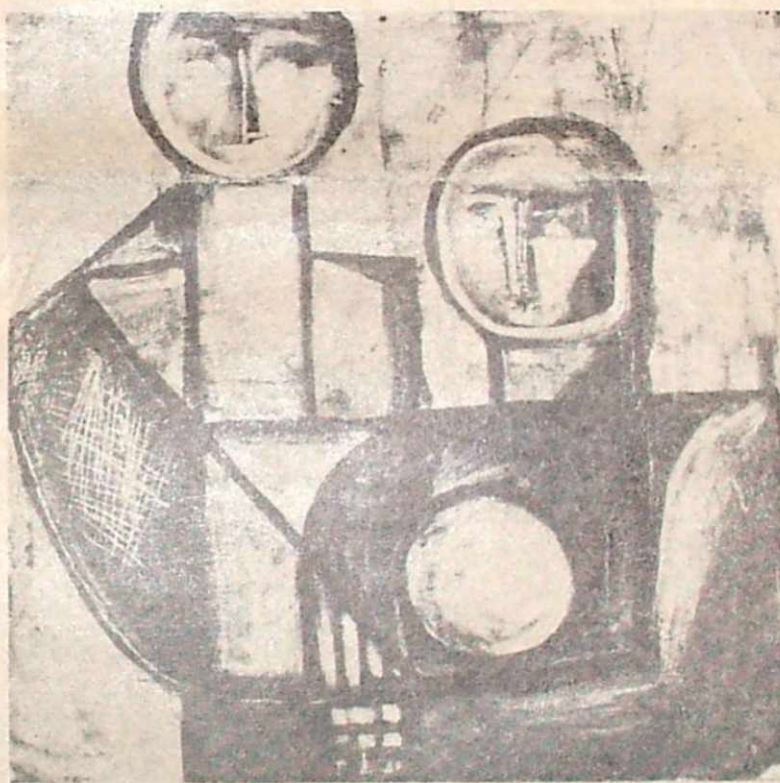
UKAZAŁA się właśnie książka, którą — jak sędzę — już teraz można nazwać jedną z najciekawszych książek roku. Wprawdzie jej 565 stron aż się jeży od tysięcy cyfr, których na ogół nie lubią ani literaci, ani działacze społeczni, ani pracownicy kultury, ale życie jest często bezwzględne i wszyscy od czasu do czasu muszą interesować się cyfra-

mi: jedni wysokością nakładów własnych książek i honorariami, inni wciąż jeszcze skąpych budżetami czy też ilościowymi efektami pracy społecznej. Osobiście bardzo namawiałbym do przeczytania tej książki, która nosi dość nieefektowny tytuł: „Rocznik Statystyczny 1962”. Z małą poprawką: rokiem omawianym jest rok 1961, chociaż pełno wszędzie porównań z latami poprzednimi, zarówno w skali krajowej, jak i międzynarodowej.

Ponieważ jednak nakład jest raczej skromny (32 tysiące egzemplarzy) i został już prawie w całości wykupiony przez ekonomistów — warto chyba przytoczyć trochę cyfr z tego „Rocznika”. Część danych pozwoliłem sobie w różny sposób przeliczyć, tak aby w sprawach określonych działem „kultura” odnaleźć miejsca, jakie w naszym kraju zajmują cztery interesujące nas szczególnie województwa: białostockie, kieleckie, lubelskie i rzeszowskie.

Zanim jednak pozwolę ci, kochany Czytelniku, spojrzeć na te cyfry — pozwól mi na kilka słów wstępnych. Na naszym, owych czterech województw, terenie nie trzeba chyba wyjaśniać, że w okresie międzywojennym byliśmy pod każdym względem Polską B. I równocześnie prawdą jest, że i w chwili obecnej poza przyjemnymi wyjątkami na ogół też zajmujemy jedno z ostatnich miejsc wśród innych województw Polski. Ale mimo to różnica jest zasadnicza. Dzisiejsze osiągnięcia owych 4 województw są bez wyjątku wyższe od przeciętnych cyfr przedwojennej Polski. Kto jest specjalnie ciekawy — niech zajrzy do „Roczników Statystycznych” z tego okresu, chociaż nie wszystkie dane tam publikowano, chyba dlatego, że zbyt wielka była różnica z innymi krajami, że niektóre dane byłyby po prostu zbyt kompromitujące

(Dokończenie na str. 2)



ALFRED KUD — PORTRRET PODWÓJNY
V. artykuł „Z wystaw rzeszowskich” na str. 11.

NAŚLADOWNICTWO WSKAZANE

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

NIECH czytelnicy wybaczą banalne stwierdzenie: chcąc mieć sale wystawowe wypełnione publicznością, chcąc oderwać społeczeństwo od taniej emocji tuzinkowego filmu i łatwej muzyki musimy zacząć edukację estetyczną od młodzieży, od szkół. Co zrobiły lubelskie instytucje, jak Związek Polskich Artystów Plastyków, oddział Biura Wystaw Artystycznych, kierownictwa szkół średnich i organizacje młodzieżowe, cóż takiego uczyniły, aby „wejść” do szkoły ze sztuką? Bądźmy szczerzy — niewiele.

Wystarczyło pójść na Jesienną Wystawę Okręgową, żeby przekonać się o „zainteresowaniu”, jakie ona wzbudziła. Bywały dni, w których liczba

zwiedzających nie przekraczała 5 czy 6 osób, a grupa uczennic pewnej szkoły zawodowej z nauczycielem na czelo dosłownie obleciała sale dookoła!

Nie posiada Lublin wypracowanej metodyki propagowania sztuki wśród młodzieży szkolnej, lecz mają takie metody inni i to niedaleko, bo w Warszawie. Ktoś powie: „wiadomo — stolica” i przytoczy argumenty finansowe, personalne itp. Dla tych krótka informacja: wydział instytucji, o której mowa poniżej, zatrudnia 7 osób personelu, spełniającego funkcje pracowników umysłowych, a kiedy zajdzie potrzeba — także fizycznych. Ludzie ci dysponują czasami samochodem, borykają się z trudnościami finansowymi i innymi, osiągają jednak świetne rezultaty.

Propozycje sprowadzają się w zasadzie do jednej: korzystajmy z doświadczeń Wydziału Oświatowego Centralnego Biura Wystaw Artystycznych, mieszczącego się w warszawskiej „Zachęcie”, gdzie pedagog p. Halina Osterloff, od której uzyskałem szereg informacji, jest zastępcą kierownika. Terenem działania Wydziału są szkoły ogólnokształcące na obszarze Warszawy, ale metody pracy upowszechniającej sztukę wśród młodzieży szkół licealnych Warszawy nadają się do przemyślanej naśladowania wszędzie, tym bardziej że wspomniany Wydział oferuje pomoc innym, pozawarszawskim ośrodkom.

Jakie są to metody i czy przynoszą pozytywne rezultaty?

Akcja propagowania sztuki w szkołach prowadzona jest jednocześnie z młodzieżą i nauczycielstwem.

Pracę „dokształcającą” nauczycielstwo prowadzi się w formie dziesięciodniowych seminariów odbywających się w „Zachęcie”. Do chwili obecnej

(Dokończenie na str. 10)

Wzamy chociażby nakłady gazet. Przed wojną ich w ogóle nie ujawniano, stanowiły tajemnicę nie tyle państwową, ile wydawców. A jak było naprawdę? Pracę dziennikarską rozpoczynałem w pewnym tygodniku młodzieżowym, który w nagłówku chwalił się: „Nakład 20.000 egzemplarzy”. Gdy po kilkutygodniowej praktyce zostałem sekretarzem redakcji tego tygodnika, stwierdziłem zaskoczony, że drukowało się najwyżej do 3 tysięcy egzemplarzy, z czego sprzedawano 2 tysiące, reszta to gratia i zwroty. Albo przykład z prasy codziennej. Ostatnie lata przed wojną pracowałem w warszawskiej popołudniówce „Dobry Wieczór Kurier Czerwony”, która w wysokości nakładu zajmowała w Warszawie 4, a w Polsce 5 lub 6 miejsce. Tymczasem jej nakład był znacznie mniejszy od łącznego nakładu dzisiejszych dwóch dzienników lubelskich, zaś słynny krakowski „Ikac” byłby dumny, gdyby miał taki nakład, jaki mają pisma codzienne naszych 4 województw łącznie. A przecież „Ikac” rzeczywiście bil wszelkie rekordy poczytności w Polsce.

A teraz trochę owych cyfr z wyjaśnieniem: dwie pierwsze rubryki obejmują 18 jednostek administracyjnych w kraju (miasta wydzielone połączone są z otaczającymi je województwami — tak podaje „Rocznik”) — a ostatnia 17 jednostek, gdyż oczywiście w rubryce „wieś” trzeba było pominąć miasta, stanowiące same w sobie województwa. W pozostałych są 22 województwa i miasta wydzielone. W poszczególnych rubrykach pierwsza cyfra jest cyfrą bezwzględna, druga — ta w nawiasie — oznacza, które miejsce w kraju zajmuje dane województwo:

p. tabela na dole strony.

Tak więc wypadamy stosunkowo najlepiej, jeżeli chodzi o czytelnictwo w bibliotekach. Białostockie zajmuje nawet czołowe, 3 miejsce w kraju, a wszystkie nasze województwa mają przeciętną wyższą od krajowej. Chwała za to bibliotekarzom, a najbardziej chyba tym z małych miasteczek i gromad! A przecież jeszcze przed 15 laty przytaczało nas tu przedwojenne dziedzictwo setek tysięcy analfabetów i półanalfabetów, dla których książka była pojęciem najzupełniej abstrakcyjnym. Warto także podkreślić, że zahamowanie, a nawet cofnięcie się w ostatnich latach, jeżeli chodzi o czytelnictwo gazet, jest wynikiem wciąż utrzymujących się niestety, ograniczeń papierowych. Mimo bowiem, że w sumie nakład gazet wzrasta, nie jest on proporcjonalny do wzrostu ilości mieszkańców i stąd w ostatnich 6 latach we wszystkich 4 województwach czytelnictwo gazet zmalało w przeliczeniu liczbą egzemplarzy rocznie na 1 mieszkańca. Bardzo to jednak różnie wygląda: w województwie lubelskim tylko o 2 egzemplarze, w kieleckim o 4, rzeszowskim o 8, a w białostockim aż o 11. Ponieważ na froncie papierowym widać już oznaki pewnej poprawy — pomijając bieżące trudności zimowe — trzeba, aby działacze oświaty i kultury zrobili wszystko, by ten regres szybko nadrobili. Sprawa nie będzie nawet trudna, o czym świadczy codzienne kolejki przed wielu kioskami „Ruchu”. Dodajmy na pocieszenie, że czytelnictwo czasopism na ogół utrzymało się na dawnym poziomie.

Zaskakująco wysoką frekwencją cieszą się wystawy i muzea w województwach kieleckim i rzeszowskim, a zupełnie przyzwyczajone miejsca zajmujemy wszyscy, jeżeli chodzi o uczęszczanie do teatrów. W tej ostatniej rubryce „Rocznik” uwzględniła tylko placówki państwowe, wymykają się więc spod kontroli wszystkie teatryki młodzieżowe, studenckie i inne, gdzie przecież widzów w ciągu roku też można liczyć na tysiące i to wcale niemało.

Osobiście nie bardzo wierzę statystyce „Radioabonenci na 1.000 mieszkańców”. Nie chodzi tu o podważanie zaufania do Głównego Urzędu Statystycznego. Rzecz leży na innej płaszczyźnie. W roku ub. lubelska Dyrekcja Poczty wykryła ponad 8 tysięcy radiopajęczarzy, w olbrzymiej większości na wsi. Wyjaśniono mi równocześnie w Dyrekcji Poczty, że podobne zjawisko wy-

stepuje co roku ze szczególnym nasileniem jesienią i na początku zimy. Oto tuż przed zimą tysiące rolników, mając pilne prace na polu i przy inwentarzu, po prostu nie mają czasu na słuchanie radia. Ponieważ nie słuchają — nie płać abonamentu i wypadają ze statystyki. Gdzieś w październiku występuje odwrotna fala — tyle że przeciwnie w słuchaniu, rzadziej w płaceniu. Świadczy to o nie najwyższym jeszcze poczuciu społecznym, czasem o formalnych trudnościach z dotarciem do poczty czy listonosza. Ale faktem jest, że gdyby tych okresowych radiopajęczarzy włączyć na stałe do statystyki, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Niewątpliwie podobne zjawisko występuje w 3 pozostałych województwach, nie wydaje mi się natomiast, aby było tak duże w centralnej i zachodniej części kraju.

Na tym zapewne polega nieporozumienie, w wyniku którego kilka pism warszawskich pisało ostatnio, iż liczba radioabonentów na wsi od pewnego czasu maleje. A swoją drogą warto przy okazji zwrócić uwagę na to, że do radiofonii przewodowej — tak szybko rozbudowywanej z konieczności tuż po wojnie — państwo dokłada co roku kilkadziesiąt milionów zł, głównie do naszych województw. Wniosek z tego prosty, że należy ze wszystkich sił natężyć elektryfikację wsi. Przyrost mocy naszych elektrowni w roku ub. był, a w tym i w następnych będzie tak duży, iż nie powinno być problemów z dostawą prądu. Równocześnie można by rozładować przepelnione radioodbiornikami magazyny handlu, uwalniając zamrożone tam dalsze dziesiątki milionów zł. Nie bez znaczenia jest wreszcie fakt, iż na rynku w ogóle nie posiadamy telewizorów bateryjnych, w wyniku czego dla wsi pozbawionych prądu elektrycznego telewizja jest czymś, co praktycznie nie istnieje. Jeżeli dużym wysiłkiem zdobyliśmy się na stacje przekąźnikowe, trzeba chyba zrobić dalszy krok. I dlatego kierownik wiejskiej szkółki czy gromadzkiej świetlicy powinien stać się główną osobą w społecznym Komitecie elektryfikacji swojej wsi, dołączając swój ważki głos działacza kulturalno-oświatowego wszędzie tam, gdzie trzeba się dobić do doprowadzenia elektryczności. Bez niej, bez radia i telewizora, duża część jego wysiłków nie przyniesie spodziewanych rezultatów.

Pisałem na wstępie, że „Rocznik Statystyczny” to jedna z najciekawszych ksiąg roku. Dla przykładu proszę spojrzeć jeszcze na kilka cyfr i przeliczeń — wprawdzie z innej, ale jakże ważnej dziedziny. Przyglądając się dokładniej tabelicom w dziale „Inwestycje” oraz „produkcja globalna przemysłu” byłem dosłownie zaskoczony. Zaskoczony tym, jak bardzo szybki jest rozwój naszych województw, jak wielkie sumy bierzemy od państwa w formie nowych fabryk czy kopalń — i że w tych dziedzinach zajmujemy naprawdę czołowe miejsce w kraju.

	Procentowy wzrost prod. przem. 1950-60	Nakłady inwest. w mld 1950-60
Białostockie	621,2	15,235
Kieleckie	164,6	26,940
Lubelskie	622,9	26,644
Rzeszowskie	597,8	32,468

Pierwsza rubryka oznacza tzw. dynamikę wzrostu. Rzecz bez precedensu w historii naszych województw, brak porównania z jakimkolwiek krajem „świata zachodniego”. Argument, któremu nie może się przeciwstawić ani Wspólny Rynek, ani nawet wojownicze NATO. A dodatkowe wyliczenie wykazuje, że w owej dynamice rozwoju produkcji przemysłowej wśród 22 województw zajmujemy miejsca: lubelskie 3, białostockie 4, rzeszowskie 5 i kieleckie 19. W przeliczeniu na 1 mieszkańca — od niemowlęcia do starca — wypada miesięcznie 110-160 zł na inwestycje, które państwo przeprowadza na terenie naszych województw. Trzeba tu powiedzieć prawdę, że dynamika rozwoju właśnie tam może być

większa, gdzie poprzednio było większe zacofanie. W cyfrach bezwzględnych produkcji przemysłowej na województwo katowickie produkuje przeciętnie 10 razy więcej i oczywiście tam każdy procent wzrostu jest znacznie trudniejszy niż u nas. Ale to nie zmienia faktu, że z długiego ogona, jaki tworzyliśmy przed wojną, będąc rzeszowskim B — przeskoczyliśmy wiele miejsc naprzód i zajmujemy w kraju pozycje: kieleckie 12, rzeszowskie 13, lubelskie 15, białostockie 21 (na 22 województwa).

No cóż — ani myślę pisać hymnów pochwalnych czy radosnych sonetów. Fakty są zbyt wymowne same przez się. I jeżeli są urzeczywistnieniem tego, co nam przed 20 laty obiecywano, o co nie bez ciężkich ofiar walczyliśmy, co nie bez trudu budowaliśmy według wskazań partii i rządu — to jestem dumny. Jako jeden z 30 milionów obywateli.

Jerzy Dostalni

Oni

(Dokończenie ze str. 1)

Londyńczyk zalatwiający swoje sprawy w City z marną plotką, z businessmanem tego samego, co i on, pokroju wie, że rozmawiał z pośrednikiem, za którym stoi potężne, niemożliwe do rozszyfrowania City.

Synowa wybitnego, nieżyjącego polskiego pisarza przez długie lata utyskiwała na NICH, aż wreszcie została przyjęta przez jednego z wicepremierów. Wróciła oczarowana, rozanielona. — Pan wie? To człowiek gruntownie wykształcony, czytany, zna wszystkie dzieła mego teścia, cytuje je, a nawet kilka razy przytoczył przysłówia po łacinie! Od tej wizyty osoba nosząca wielkie nazwisko przestała używać zamka o n i. Mówi natomiast często „ten przewodniczący to człowiek z głową”, albo udziela znajomym rady: „Nie może pan zalatwić? Niech pan jedzie do wicepremiera X. Uroczy człowiek, towarzyski, wytworny, urodzony mają stan”.

Co tu dużo mówić. Mój stosunek do pewnej wysoko postawionej osobistości zmienił się radykalnie, kiedy po dłuższej rozmowie odbytej w jej gabinecie, dowiedziałem się, że człowiek ten czytał przed wojną stałe „Wiadomości Literackie”, że po wyjeździe z węglenia za jedynę posiadaną przy sobie dwa złote kupił właśnie „Wiadomości” i lwowskie „Sygnały”. Kiedy zaś przy następnej rozmowie wyszło na jaw, że osobistość ta czyta stałe książki, że posiada dobre rozeznanie w literaturze dwudziestolecia, nie pomija żadnej okazji, aby zobaczyć współczesną sztukę, czyta na bieżąco recenzje w wielu periodykach, kiedy — powiadam — wszystko to stwierdziłem osobiście, stałem się gorącym zwolennikiem tego człowieka i jestem święcie przekonany, że we wszystkich swoich poczynaniach kieruje się dobrem społecznym, patrząc zapewne znacznie dalej niż my, ludzie na ogół dość subiektywnie oceniający pewne zjawiska.

W Lublinie bywam raczej rzadko. Jednak głęboko wryła mi się w pamięć rozmowa z pewną osobą, bynajmniej nie na niskim szczeblu stojącą. Szczególnie sceneria. Otóż odwiedziłem tę osobę w urzędowym gabinecie. Jakież było moje zdziwienie, gdy zastałem ją z poematem w ręce, polemizującą z innym człowiekiem (głowę dając, że nie był to ani krytyk, ani literat, ani w ogóle człowiek pióra) nad utworem poetyckim pewnego wybitnego młodego poety. Trąbię o tym wydarzeniu na wszystkie strony. No bo jakże? Czy w City czytają wiersze? Czy analizują formę i treść ukazujących się na rynekach księgarskich utworów? Nawet najbardziej zakochany w swoim mieście Londyńczyk wybuchnie na samą

W City zalatwia się interesy. Ale u nas też U has też w tej samej właśnie instytucji zalatwia się bardzo poważne, bardzo istotne dla naszego życia sprawy. Tylko że ludzie, którzy sprawy te zalatwiają, niekiedy (a może często) czytają poematy. Być może, że to wypadek sporadyczny, być może, że złośliwie uproszono czytelnika powie: „Ba i wśród nich są przecież ludzie kulturalni, czytani”. Tylko że ja takich ludzi widzę coraz częściej, dlatego m. in. dla mnie oni to nie mił, ani konglomerat abstraktów, lecz żywi, dotykalni ludzie, współczujący, współczujący, dzielący moje osobiste dole i niedole, wloty, zalamaną upadki.

Obserwowałem twarze ludzi słuchających na dalekim zapleczu przemówienia Gomułki na ostatnim plenum Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności. Brali udział w tym przemówieniu, byli jego współautorami. Nie dać, nie ująć. Szczególnie wtedy, gdy chodziło o wykonanie robot, czekających na ręce ludzkie tuż za oknem. Śmiały się i kiwali głowami, gdy mówca cytował wystąpienia osób, które opowiadały o ogródkach i kwietnikach wtedy, gdy zwąły śniegu utrudniały komunikację w całym kraju. Gdy skończył, zapytałem o wrażenia. „Stradaliśmy na tej przeklętej ziemi miliardy złotych”. Prawdopodobnie w gronie słuchaczy byli i tacy, którzy jeszcze wczoraj powiedzieliby, że oni stracili owe miliardy.

Słowo wypowiedziane bezpośrednio słowo wzięte z życia, prawdziwe, zdziałać może cuda.

Gmach, do którego wchodzimy, jest tak długo w naszych oczach kuźstowanie ulozonym stosem cegieł i niczym więcej, dopóki w gmachu tym nie osiedlą się ludzie, nawet gdyby wnieśli ze sobą zapach kurzu i szaf kancelaryjnych. Właśnie wtedy staje się domem, nie City, nie odgrodzonym zalazkami od życia obiektem, w którym snują się ich cienie.

W naszym domu zamarzyły wszystkie rury, śnieżyca wyrwała okiennice, dachówki, nie starczyło węgla na opał, śnieg zasypał wszystkie drogi, a pękające na włosną, do której tak tęskniłszy, lody, spłynęły, podmyły i dom mieszkalny i budynki gospodarcze.

I oto, kiedy na ulice, autostrady, szosy, drogi i ścieżki gromadziły wyległy niezliczone tłumy, by uprzętnąć śnieg by własnymi zaprzęgami śnieg ten w wozie, usłyszałem rozmowę, która bodaj czy nie jest wyrazem istotnej zawłości naszego Narodowego Frontu.

Rozmawiali ludzie, którzy nie zalawali ani rąk, ani zaprzęgu.

— Od niepamiętnych czasów tyła luda wyszło na drogę.

— Wyszło, ale nie wszyscy. Oni zostali. Im jest ciepło, wygodnie, dla nich śnieg może być, może nie być, o n i.

Ognień mnie pasja. Wtrąciłem się do rozmowy. Natarłem ostro.

— Nie widzicie, że j o n i są na szosie? Patrzcie: wszyscy urzędnicy, oficerowie i żołnierze, przewodniczący i sekretarze, nawet milicjanci pracują łopatami aż miło, a wy tu ciągle: o n i, o n i c h.

Odłożyli narzędzia, spojrzeli na mnie przeciągle.

— A panu co?

— Wiem, co mówię — zapierzylim się. — Dla was oni to właśnie wszyscy ci w mundurach, w marynarkach, za biurka, ci, co rządzą. Może nie tak?

Popluli w ręce, w milczeniu sięgnęli po swoje łopaty.

— Może tak kiedyś i było. Ale dziś, panie, dziś ludzie inaczej zaczynają myśleć.

— Więc któż są wedle was ci o n i?

— A któżby inny, jak nie tamci, którzy przyglądają się nam zza firanek, którzy ciągle mają wszystkie i wszystkie za złe. Emigranci duchowi, czy jak ich nazywają: wewnętrzni emigranci.

Rzeczywiście. Prawdę mawiali nad socjologowie:

„Niekiedy pod stare, dobrze wypolerowane terminy podkładają ludzie zgrana nowe, wręcz odwrotne treści, ani się spozstrzegając, że treści te stały się ich alter ego, wyrazem ich głębszych, wewnętrznych przeobrażeń”.

Tylko w City nie się nie zmienia wszystko od wieków tkwi w uświęconym tradycją prawie zwyczajowym.

Waldemar Babinicz

	Liczba egz. na 1 mieszk. rocznie		Czytelnicy bibl. powsz. na tys. mieszk.	Wypożyczeń książek na 1 mieszk.	Liczba zwiedz. muzei i wyst. w tysiącach	Widzowie w teatrach w tys.	Widzowie w kinach na tys. mieszk.	Radioabonenci na tys. mieszk.	
	gazety	czasop.						ogółem	wieś
Polska	48	16	129	18,5	11.838	8.767	6.208	182	125
Lubelskie	30 (14)	10 (14-15)	131 (10)	14,4 (22)	295 (15)	286 (13)	4.456 (16)	135 (20-21)	105 (14-15)
Kieleckie	26 (16-18)	9 (16-18)	138 (9)	15,0 (20)	429 (7)	366 (10)	4.089 (20)	113 (22)	75 (17)
Białostockie	29 (15)	9 (16-18)	171 (3)	14,7 (21)	104 (21)	247 (16)	5.198 (15)	137 (19)	96 (16)
Rzeszowskie	26 (16-18)	10 (14-15)	151 (6)	15,9 (18)	483 (5)	292 (12)	4.519 (17)	135 (20-21)	105 (14-15)

KLA emigracyjne usiłują wciąż jeszcze wzmocnić w opinii polską i wpisać na karty historii twierdzenie, że jakoby gen. Sikorski zmarował armię polską we Francji i z liczby osłonej ok. 100 000 żołnierzy zdołał przeprowadzić do Wielkiej Brytanii tylko 15 000. Cyfra ta jest zgoła fantastyczna. Stan wojska w r. 1940, w Szkocji i Anglii, wynosił — według naszych szczegółowych obliczeń — razem z oficerami 40 000 ludzi. Chcąc pomniejszyć człowieka, przedstawia się jego zasługi, kolejno, w świetle fałszywym, jako błędy polityczne — a wydarzenia wojenne przemilcza się i przekreśla celowo, dążąc do konkluzji: zmarnował wojsko.

Oto jak wyglądał stan faktyczny: Norweska Brygada. Naczelne dowództwo brytyjskie postanowiło, wobec inwazji Francji, zlikwidować przyczółek Narvik i wycofać oddziały okupujące ten rejon i okręty wojenne do Francji. Chodziło tu nie tylko o polską brygadę, lecz również o grupę bojową francuską, złożoną z oddziałów Legii Cudzoziemskiej. W obliczu postę-

gnadierów jest znany. Wspomniał o nim w mojej książce „Drogi bezdomnych” (PIW 1958). Dywizja grenadierów, w ogniu, podczas tych pięciu ostatnich dni, nie miała już łączności ani z naczelnym dowództwem polskim, ani z francuskim.

Nie doszłona jeszcze dywizja gen. Maczka brała udział w walkach na zachód od Paryża, w manewrze opóźniającym marsz Niemców. Znaczna jej część wycofała się razem z nami do Anglii. Notuje tu, w odniesieniu do fantastycznej cyfry 15 000 uratowanych, że tylko na dwóch węglarkach, które przeszły od Le Verdon, na Zyronóżia, wielkim lukiem przez ocean do Liverpoolu, dotarło do Anglii 10 000. A przecież mnóstwo innych okrętów doszło również do brzegów angielskich, a w dodatku już na Wyspach Brytyjskich było nasze lotnictwo i marynarka.

Notuje tu jeszcze, że podczas ostatnich, końcowych dni katastrofy francuskiej gen. Sikorski zdołał polecić do Londynu, rozmówić się z Churchilllem, wrócić do Francji, gdzie w miasteczku

tego z Francji — ale nie zaczyna się takiego rozkazu słowami: „Żołnierze, którzy nie czują się na siłach do dalszego prowadzenia walki...”. Tak do żołnierza mówić nie wolno. Nie więc dziwnego, że formę tego rozkazu uznano za defetystyczną — i słuszną.

Były wtedy również inne przykłady załamania się ludzi. Mówię o nich w mojej książce „Drogi bezdomnych”.

*

W życiu naszym żołnierskim we Francji i na Wyspach Brytyjskich, oprócz trudów wojennych, były nuty przykre nad wyraz. Nielatwo było znieść świadomość, że przed Wodzem Naczelnym, do którego żołnierz ma zaufanie, ryje i kopie całe mnóstwo niby posłusznych ludzi. Nielatwo było zwłaszcza pogodzić się z faktem, że rozrastała się tam zaciekle jakaś niewdzięczność.

Ostatecznie przymierze polsko-francusko-angielskie utrzymane było pod warunkiem, że rząd emigracyjny stworzy Sikorski. Setki tysięcy ludzi z wdzięcznością Sikorskiemu fakt, że nie

WSPOMNIENIE O WŁADYSŁAWIE SIKORSKIM *

EDWARD LIGOCKI

pującej wciąż inwazji Francji Churchill postanowił zatrzymać na kontynencie i skoncentrować na półwyspie bretońskim, dostateczne siły, by utrzymać się na tym terytorium i gotować się do kontrofensywy. Liczył przy tym, rzecz prosta, że w Bretanii znajdują się również poważniejsze siły francuskie. Oznaczało to zatrzymanie się mniej więcej na linii Mont St. Michel — Rennes — Nantes i umocnienie tego odcinka.

Jeszcze 16 czerwca 1940, w myśl tego planu, wojska angielskie kierowane były do Bretanii. Tam również, w Nantes, znaleźć się miała, będąca na morzu, Norweska Brygada dochodząca do portu.

Kapitulacja Francji, zapowiedziana przez niespodziewane orędzie Pétaina 17 czerwca, pokrzyżowała te plany. Trzeba było wycofywać się pospiesznie z kontynentu za morze. Jeden tylko batalion Norweskiej Brygady, który lądował się ostatni, zawrócono na morzu i skierowano do Szkocji.

Również 16 czerwca obie dywizje polskie były w nieustającym ogniu na froncie, na odcinku Lagarde — Bois de Dieuze między Belfort i Nancy. Po ogłoszeniu przez Pétaina kapitulacji Francji wojska francuskie rzucały artylerię, broń ręczną, uchodźły tłumem bezładnym. Obie dywizje polskie zawiąły w próżni, nie mając już osłony na flankach. Większa część dywizji strzelców polskich zdołała się wycofać do Szwajcarii. Dywizja grenadierów, pod gen. Duchem, walczyła osamotniona przez pięć dni, od 16 do 21 czerwca, i nie skapitulowała. Na rozkaz poszła w rozsypek, część zagarnięta została do niewoli. Epos dywizji

Libourne, niedaleko Bordeaux, przebywały czasowo władze polskie wyewakuowane z Angers, i wówczas dopiero udał się na stały pobyt do Anglii. Opowiadanie o tym, że generał był „dezorientowany”, jest bzdurą wyssaną z palca. Ze trudno mu było rozstać się z wiarą w gwiazdę francuską, to prawda. Wierzył w nią tyle lat. Ale to jest nuta emocjonalna i przesądzać nie może o orientacji ogólnej.

Czegoż więc chcą od gen. Sikorskiego ci, którzy opowiadają, że „zmarnował armię”? Czy miał wyłamać się z dyscypliny sojuszniczej? Przecież aż do pamiętnego południa dn. 17 czerwca, gdy zabrzmiął w mikrofonach placzliwy głos Pétaina obwieszczającego kapitulację Francji, szły jeszcze do Bretanii przez morze posiłki angielskie i trwał plan utrzymania bretońskiego przyczółka. Czy miał w ogóle dawać jakieś rozkazy ewakuacyjne dywizji grenadierów i dywizji strzelców na odcinku Belfort — Nancy, które wchodziły jako siły bojowe, w skład III armii francuskiej? Nie trzeba być dyplomowanym oficerem sztabowym, by te proste rzeczy rozumieć, wystarczy chłopski rozum.

Rzecz inna, że pewne załamanie moralne u niektórych jednostek, a może też wykruszenie pewnej liczby żołnierza spowodował rozkaz z dn. 17 czerwca, podpisany przez gen. Kukieła, ministra spraw wojskowych. Nie sądzę, by tekst tego rozkazu, przed jego ogłoszeniem, gen. Sikorski mógł w ogóle mieć w rękę, zwłaszcza że na te godziny przypada jego lot do Londynu. To, że w chwili katastrofy daje się żołnierzowi prawo wyboru między demobilizacją i pozostaniem w wojsku, jest rzeczą normalną, zwłaszcza że chodziło o rekruta polskiego pochodzą-

gnią w obozach. Zrozumiałe i proste? Kto płaciłby żółd tym panom przez długie lata? Kto sprawił, że czuli się ludźmi, a nie tłumem rozbitków?... Może by tak, na starość, panowie emigranci zadbali o lepszy, uczciwszy ład w swoich sądach...

Nie tylko niezręczne generalskie intrygi, zniesławiające ulotki, spiski, knowania winny były Sikorskiemu otworzyć oczy. Knuto również zamachy na jego życie. Jedni mówią: cztery — a inni — trzy, zaliczając Gibraltar do rzędu katastrof lotniczych.

Pierwszy, w roku 1940 w Paryżu, lepiej nawet traktować jako pogłoskę, był bowiem tylko zamiarem, i tu można było wyczuć rękę niemiecką. Drugi, nad Atlantykem w lecie 1942 roku, był naprawdę poważnym niebezpieczeństwem. Pisałem o nim obszernie w „Tygodniku Demokratycznym”, opierając się na relacji pralata Zygmunta Kaczyńskiego, ministra oświaty i nauki emigracyjnej, który towarzyszył generałowi w podróży do Ameryki. Podrzucono do bagażnika samolotu walizkę zawierającą bombę z zapalnikiem opóźniającym. Przy tej walizce był bilet wizytowy plk. Kl., również lecącego tym samolotem. Ów pułkownik był narkomanem i przed odlatem zaaplikował sobie dawkę dość silną. Gdzieś w połowie drogi, między Ameryką i Irlandią, zauważono dym wydobywający się z bagażnika. Dymyła, z wyraźnym zapachem gutaperki, owa podrzucona — jak się okazało — walizka. Rzekomy jej właściciel — nawiasem mówiąc specjalista od materiałów wybuchowych — był nieprzy-

(Dokończenie na str. 5)

O duńskich Polakach

LUDMIŁA TOKARSKA

OSTATNIE miesiące przyniosły dwie publikacje o Danii*). Jest więc nadzieja, że ten przyjaźnie do Polski ustosunkowany kraj stanie się bardziej znany w naszej ojczyźnie. A warto Duńczykom zrewanżować się choćby za zainteresowanie i sympatię do Polski. Wprawdzie w Danii nie ma zbyt wielu publikacji o Polsce — ale polska literatura i sztuka zajmuje tam sporo miejsca w życiu kulturalnym.

Duńczyk oblicza, że w Danii mieszka ponad 10 000 Polaków. W naszych wyobrażeniach jest to bardzo mała grupa — w wyobrażeniach duńskich duża. Polonia „stara” — to kilka tysięcy chłopów, którzy przed I wojną światową i w okresie dwudziestolecia międzywojennego przywdziali tu „za chlebem”. Największe skupiska tych Polaków są na wyspie Lolland i Falster (w pobliżu wybrzeży niemieckich), a także na półwyspie Jutlandkim. Teraz to już drugie, a nawet trzecie pokolenie, które w znacznej części zasymilowało się, w wielu wypadkach zapomniało mowy polskiej. Starzy mówią sobie tylko zrozumiałym żargonem galicysko-duńskim (większość emigrantów oczywiście z terenów dawnej Galicji), młodzi, no cóż, mówią po duńsku. Czy można ich za to potępiać? Wydaje mi się, że nie. Pierwsze pokolenie emigrantów — to byli ludzie nieuczeni, często niepiśmienni, młodzi nieuczni duńskie szkoły. Starzy zostali na roli, młodzi, w większości, poszli do miast, język polski zaś nie znajduje nigdzie zastosowania. I tak stali się Duńczykami polskiego pochodzenia.

Może trochę upraszczam, ale i uproszczeniem wydaję mi się twierdzenie Sergiusza Jaśkiewicza, który w reportażu „Pod niebem Danii” pisze o duńskich Polakach bardzo entuzjastycznie: „... na Fionii, w Zealandii czy Jutlandii serca ich wciąż biją dla Kraju (konkretnie przez duże K — przyp. mój L. T.), którego wielu spośród nich w ogóle nie pamięta lub który niewiele z nich odwiedza niekiedy. Tesknota każe im biec myślami ku Warszawie, Krakowowi, nad Wartę, do miasteczek i wsi. Czują się wtedy zagubieni. A przecież najłatwiej było zapomnieć, najłatwiej było całkowicie zasymilować się właśnie tam, gdzie nie ma przesładowań i wojny, gdzie bunt narodowy traci tę rację bytu, jaką posiada w walce. Należy więc schylić głowę właśnie przed nimi, przed Polakami z Danii, którzy mimo to zachowali swą polskość” (s. 92). S. Jaśkiewicz daje przykłady kilku osób (rodzin), które nie zerwały kontaktu z krajem, które cechuje duży patriotyzm. Nie przeczę. Ale mogę zilustrować przykładami coś wręcz odwrotnego. I dlatego nie ryzykowałabym uogólnień. Bo proszę: Byłam zaproszona do pewnego polskiego domu w pobliżu Kopenhagi. Gospodarz, Polak, który przebywa w Danii 17 lat (został po II wojnie światowej) — mówi dobrze po polsku. Jego żona, urodzona w Danii, córka emigrantów spod Tarnowa — nie umie po polsku. Córeczka ich (czternastoletnia) nie umie po polsku, obecnie zaczęła się uczyć. I nie tylko nieznaną języka jest tu charakterystyczna. Także inne sprawy: np. urządzenie domu, potrawy, obowiązujące w Danii zwyczaje towarzyskie, cała duńska celebra gości. Z rozmowy wynikało, że dla tych dwóch kobiet, bardzo młodej i starszej, Polska jest krajem dalekim i obojętnym. Nic ich z nim nie łączy, interesują się nim tylko na płaszczyźnie turystyki. Dla nich ojczyzną jest Dania, nawet ich sposób rozumowania jest na wskroś duński, trzeźwy, logiczny, suchy, pozabawiony zabarwienia emocjonalnego (omawiana była sprawa opisania pobytu gospodarza w obozie koncentracyjnym i represji, jakich doznał ze strony Niemców — w związku z starami o odszkodowanie). Potem prowadziłam rozmowy na inne „polskie” tematy: o sytuacji w Polsce, polskiej literaturze i sztuce itd., itd. Niemal we wszystkim gospodarz nie znajdował wspólnego języka ze swoją najbliższą rodziną.

(Dokończenie na str. 5)

*) Jarosław Iwaszkiewicz: „Gniazdo łabędzi. Szkice z Danii”. Warszawa 1962, s. 230. Sergiusz Jaśkiewicz: „Pod niebem Danii”. Reportaż. Poznań, 1962, s. 123.



Fot. Jacek Jedliński

Pałac radziwiłłowski w Rejnowy Nagłowicach służy od r. 1946 Państwowemu Domowi Dziecka.

GODZINA
U PROFESORA

TADEUSZ KŁAK

PROFESOR dr Feliks Araszkiwicz jest człowiekiem, który spędził w Lublinie — z przerwami — przeszło pół setki lat. Może świadczyć o wszystkim, co się tu przez ten czas działo, opowiadać o ludziach, sprawach i rzeczach. Nie tylko świadczyć, bo Feliks Araszkiwicz należy do ludzi nie lubiących siedzieć z założonymi rękami. Profesor krzątał się zawsze wokół spraw zarówno wielkich, jak i drobnych, ale służących dobru społecznemu. To nie wpływy pozytywizmu i Prusa, jak byśmy mogli przypuszczać. To szkoła odpowiedzialności obywatelskiej, którą Profesor w młodości otrzymał, jeszcze w czasie zaborów.

Słucham więc żywej, barwnej opowieści Profesora o czasach znanych mi tylko z książek. Jest to opowieść o swoim życiu, ale jakie ono jest poplątane z historią! Czuje się w tym materiał na kapitalny pamiętnik.

Młodość spędził Profesor w zaborze rosyjskim, pod opieką „miłościwie panującego” cara Mikołaja II. Wędrował po różnych szkołach, maturę uzyskał w Szkole Lubelskiej (w latach niepodległości uczył tu języka polskiego i historii), po czym wyemigrował do Krakowa, by podjąć studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Patronował mu tutaj nie był kto, bo Jan Łoś i Ignacy Chrzanowski. Tam przeszedł na dalszą drogę Feliksa Araszkiwicza. Rozstał się on nie bez żalu z ciętami ku naukom matematyczno-przyrodniczym i przysłał na zawsze do literatury i pracy naukowej.

Później wyjeżdża do Rosji. Musiał najpierw zrobić rosyjską maturę w Tyflisie, potem dopiero można było zacząć studia na moskiewskim uniwersytecie. Następują wypadki rewolucyjne, Feliks Araszkiwicz wraca do wyzwalającej się Polski.

Przyszło mu spełniać jeszcze rozmaite profesje. Przez cztery miesiące nosił mundur żołnierski, potem była praca nauczyciela, wizytatora, robotnika rolnego (w czasie okupacji), konspiracyjnego nauczyciela i w końcu naturalnie — profesora uniwersytetu.

Do różnych trudów zawodowych Feliksa Araszkiwicza dochodził także twórcza — naukowa i literacka — oraz praca społeczna zamilowanego regionalisty. Spytajcie któregoś ze starszych nauczycieli czy działaczy kulturalnych, a powiedzą wam, kim był Araszkiwicz w życiu kulturalnym przedwojennego Lublina. Organizował, przemawiał, pisał, redagował. Wydawnictwa, imprezy (znane „wieczory czwartkowe”), odczyty, dodatki literackie. *Region Lubelski*, dodatki *Ziemi Lubelskiej*, dział pedagogiczny w *Dzienniku Urzędowym Kuratorium O. S. L.* i własne publikacje. Komisja Regionalistyczna, Towarzystwo Miłośników Książki, Związek Literatów, Towarzystwo Przyjaciół Nauk (był jego wiceprezesa), wreszcie Lubelski Związek Pracy Kulturalnej. Proszę zresztą

zajrzeć do corocznych sprawozdań Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej czy do *Antologii współczesnych poetów lubelskich* ks. L. Zalewskiego, gdzie profesor Araszkiwicz dokonuje bilansu działalności literackiej i naukowej w Lublinie przed 1939 rokiem. Lubelski Związek Pracy Kulturalnej, któremu przez lat parę Profesor prezesował (potem odsunięto go za zbyt lewicowe poglądy), zrzeszał wszystkie działające na Lubelszczyźnie instytucje zajmujące się działalnością kulturalną. Może on służyć za wzór właściwej koordynacji. Wyniki? — Choćby dzisiejszy gmach Biblioteki im. H. Łopacińskiego, tomy *Pamiętnika Lubelskiego*, imprezy kulturalne gromadzące często po kilkaset osób.

Zostało z tamtych czasów wiele wspomnień, przyjaźni i sentymentów: Arnsztajnowa, Czechowicz, ks. Zalewski i spotkania bibliofilów... Tę wspólnotę bibliofilską podkreślał Czechowicz w dedykacjach na wszystkich swoich tomikach ofiarowanych Profesorowi. No i ta fraszka o doktorze Feliksie. A że nie wszyscy pewnie dziś wiedzą, o kogo w niej chodziło, więc ją powtórzę:

O DOKTORZE FELIKSIE

*Feliks to znaczy szczęśny w urzędzie i domu
półki pisał krytyki nie wadzi nikomu
nie mogli mu przebaczyć jednak ludzie źli tej
rzeczy iż do naprawy wziął się rzeczypospolitej
o po cóż imię szczęśne wywierać na nice
naprawiając rząd ipsum te cura medice*

Na tytuł doktora zapracował sobie Profesor rozprawą *Bolesław Prus i jego ideały życiowe*, a doktorat otrzymał z rąk Ignacego Chrzanowskiego na Jagiellońskiej Wszechnicy. Praca ta została wydrukowana w Lublinie ze wstępem Juliana Krzyżanowskiego. Nie było jakie towarzystwo dobierał sobie Profesor! Ale też i nie było jakich miał uczniów, z których wystar-

czy wymienić nazwisko Józefa Chłasińskiego i Stanisława Bobrowskiego, nie mówiąc o pokoleniach wychowanków — polonistów o młodych — jak powstała Profesor — prusojadach, którzy już i własnych książek się dorobili.

Prus jednak nie jest wyłącznym przedmiotem zainteresowania Profesora, jak by się wydawało. Interesował się przecież polskim naturalizmem, Młodą Polską, Zeromskim, literaturą współczesną, czego dowodem *Refleksy literackie* czy *Dzieła i twórcy*. Prus tylko jest punktem odniesienia, jego twórczość miejscem, z którego patrzy się na całą literaturę, skalą i miarą wartości — niemal absolutną. Dla Profesora Prus jest i filozofem, i społecznikiem, i teoretykiem, i wychowawcą. Dopiero teraz — ale już przede wszystkim — widzi w nim niezrównanego, prawdziwie nowoczesnego mistrza sztuki pisania. Profesor Araszkiwicz pierwszy dostrzegł, analizując filmowe kształtowanie rzeczywistości w *Faraonie* (1926 rok!). *Kamery* nie tak dawno ten esej przypomniała. Jak to się czasy zmieniają, pomyślałem, czytając ową wypowiedź. Przecież to i Profesor protestował kiedyś (sam to opowiadał) przeciw wprowadzaniu filmu dźwiękowego w miejsce niemej, że niby to będzie koniec sztuki filmowej. A teraz — *Faraon* w panoramie, wierzcie się, nie chce!

Powiedziałem, że Profesor zawsze lubił się krzątać koło realizacji nowych pomysłów. Gdyby nie jego myśl, nie jego starania u władz, nie byłoby może już dzisiaj i Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie. Powstało ono na otwarcie Roku Prusowskiego, teraz rozpoczęło drugi rok istnienia. Profesor uważa się (i słusznie) nadal za jego naukowego opiekuna, troszczy się o jego rozwój i rad słucha wieści o tym, co się w nim dzieje. A chadzając w miesiącach letnich (niby wzorem Prusa) po Nałęczowie, byłby częstym jego gościem, a czasem i gospodarzem.

Profesor, choć serce w ostatnich latach trochę nie dopisywało, dużo pracuje, prowadzi wykłady uniwersyteckie, pisze i systematycznie czyta prasę kulturalno-społeczną i literacką. Pilnie śledzi nowości. A także pielęgnuje swoje hobby: słucha muzyki poważnej, ogląda malarstwo (lubi zwłaszcza impresjonizm).

Prawdę mówiąc, miałem prosić o rozmowę z profesorem Feliksem Araszkiwiczem z racji otrzymania przez niego nagrody wojewódzkiej. Sporo wody upłynęło od tej pory, a z nagrody chyba niewiele pozostało. Zresztą nie jest to pierwsze wyróżnienie Profesora. Otrzymał już przedtem nagrody literackie i naukowe i został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Nie chodzi przecież o pretekst. Z Profesorem zawsze jest o czym rozmawiać.

POGLĄDY I PRZEGLĄDY

POCHWAŁA
RADIA I TV

JERZY GEMBICKI

CHOCIAŻ to już dawno po Nowym Roku i okolicznościowe podsumowania są daleko za nami, dopiero teraz wszakże na ostatniej Radzie Programowej Polskiego Radia i Telewizji dokonano bilansu za rok 1962. Wielogodzinne obrady były ciekawe i pouczające. Pozwoliły przede wszystkim ogarnąć ogromny wysiłek tych kapitalnych, na wskroś nowoczesnych ośrodków masowej komunikacji w zakresie upowszechnienia kultury i żywotnej problematyki współczesności. Doraźne sądy, krytyczne oceny, częstokroć na pewno słuszne, nabierają innego znaczenia, jeśli się spojrzy na całość pracy Radia i Telewizji z perspektywy roku. A przecież jest to w cyfrach 43.804,54 audycjo-godzin (nazwa brzydka, ale wymowa danych bezsporna) w Radio i 4.845,32 godzin w Telewizji!

Trzeba sobie uzmysłowić, ile nakładu pracy, inicjatywy, zespolonego i indywidualnego wysiłku włożono w realizację bardzo wielu ciekawych słuchowisk, audycji literackich, społecznych, muzycznych itd. Nie sposób omówić tu wszystkie udane pozycje; ale nie można pominąć tak świetnych inicjatyw, jak np. nawiązanie ścisłej współpracy z pisarzami młodego pokolenia. Mamy na myśli konkurs na słuchowisko poświęcone XX rocznicy powstania PPR. Konkurs przyniósł 20 słuchowisk. Wszystkie zostały zrealizowane i nadane w programach Polskiego Radia. Niektóre wystawione na scenach teatrów warszawskich (Teatr „Ateneum” — „Partita na instrument drewniany” Stanisława Grochowiaka, „Stworzenie świata” Jerzego Janickiego oraz „Kwatery” Janusza Krasiańskiego).

O urozmaiceniu publicystyki radiowej niech świadczy fakt rozszerzenia sieci korespondentów o nowe placówki w Berlinie, Bonn, Rzymie, Paryżu, Pekinie, Rio de Janeiro i Budapeszcie. O popularności audycji radiowych może dać wyobrażenie wzrost ilości listów z 50 do 75 tysięcy.

O osiągnięciach 1962 r. można by mówić jeszcze wiele, cytując inne fakty, tytuły audycji i nazwiska ich autorów,

znanych pisarzy, poetów, muzyków, naukowców i publicystów. Warto jednak przejść do spraw bliższych, bieżących i tych, które ukształtują charakter i poziom audycji radiowych i telewizyjnych w roku 1963. I tutaj — wobec pewnych trudności, o których będzie jeszcze mowa — należy przyjąć z dobrą wiarą zapewnienie prezesa Sokorskiego, że programy tegoroczne będą dążyły nie tylko do utrzymania dotychczasowego poziomu, ale także do podniesienia wartości artystycznych wielu zaniedbanych jeszcze dziedzin produkcji radiowo-telewizyjnych.

Dla przykładu zdradzamy plany Radiowego Teatru Młodych. Rozszerzy on swą działalność o nowy typ słuchowisk, które można określić jako publicystyczno-polityczne. Oto niektóre nazwiska w ogólnym planie repertuarowym: Aloszyn, Anouilh, Brecht, Green, Iwaszkiewicz, Kawalec, Katajew, Lem, Faulkner, Mann, Miller, Nowakowski, Niekrasow, Odojewski, Pirandello, Saroyan, Steinbeck, Szwarz, Tiendriakow, Vercors. Dział Muzyczny zamierza swój wysiłek skierować na dalsze powiększenie zasobu nagrań polskiej twórczości kompozytorskiej, zwłaszcza w dziedzinie muzyki rozrywkowej i piosenki. Konkurs na piosenkę, stworzenie „studia piosenki”, współpracy z Ministerstwem Kultury w tej dziedzinie — powinny dać dalsze wyniki. Ponadto w 1963 r. nadal zostanie utrzymany kontakt z 53 krajami wszystkich kontynentów.

Jeśli nie przytaczamy tutaj planów TV, to nie bez powodu. Mimo bowiem ambitne zamierzenia i dobre chęci, redakcje TV stoją nadal wobec poważnych trudności technicznych, których pokonanie jest istotnym warunkiem realizacji programu telewizyjnego. Należy żywić nadzieję, że ten stan, związany z nowymi inwestycjami w dziedzinie bazy materialnej TV, ulegnie zmianie i wtedy będzie można mówić o bardziej zróżnicowanym, bogatszym i atrakcyjniejszym programie audycji telewizyjnych. W tym momencie muszą się nasuwać pewne uwagi ogólne, które nawet w okresie koniecznych i celowych ograniczeń i oszczędności nie tracą nic ze swej zasadniczej wymowy. Pierwsze stwierdzenie — to niemal truizm: współczesne środki upowszechniania kultury łączą się integralnie z problemem bazy materialnej, z procesem stałego postępu technicznego. Książka wędruje dzisiaj pod strzechę poprzez radio i telewizję. Wiedza o świecie i człowieku dociera do ludzi poprzez środki masowego przekazu. I dlatego można mieć nadzieję, że chwi-

Listy o poezji (18)

ATAWIZMY WYOBRAŹNI

ANNA KAMIENSKA

Ach, jestem bardzo słaby,
Chce mi się jeść, chce mi się pić.
Och, gdybym mógł się najeść
łowców z pół!
Z pieśni murzyńskiej H. Z. Stolarek

METAFORA, jak wiadomo, przeznacza pomost między dwiema odrębnymi sferami pojęć. Łączy to co dalekie. W dziele opartym na

lowe zahamowanie tempa w dziedzinie nakładów inwestycyjnych nie zagraża dalszemu rozwojowi TV, służącej rozwojowi kultury i wiedzy we współczesnym świecie. W każdym bądź razie warto się o te sprawy bić, przypominać, alarmować. W imię wartości kulturalnych, w imię sztuki i nauki, publicysta naszej doby musi upomnieć się o maszyny rotacyjne, lampy do kamer telewizyjnych, parki maszynowe w drukarniach pism ilustrowanych; musi dopominać się od przemysłu o przeniesienia jakości odbiorników radiowych i gramofonów. Bo dobry odbiór audycji, słuchowisk i koncertów z płyt zależy od dobrej produkcji aparatów. I dlatego, aby inicjatywa Studia 63 w TV jako kuźnia nowych talentów literacko-telewizyjnych nie została zmarnowana, muszą istnieć odpowiednie warunki techniczne.

I dlatego należy się cieszyć choćby z takiej zmiany, jak niedawne porozumienie TV z Polskim Filmem. W roku 1963 na bazie technicznej Polskiego Filmu znacznie się produkcja specjalnych filmów fabularnych dla TV. Należy też podkreślić, że zabezpieczenie Zakładów Filmów Telewizyjnych nowoczesnej bazy technicznej (w styczniu br.) jeszcze bardziej rozszerzy udział własnego filmu dokumentalnego w programie TV. Rozwinięcie własnej produkcji filmowej pozwoli obecnie również na rozszerzenie zakresu współpracy międzynarodowej i to zarówno z państwami socjalistycznymi, jak i kapitalistycznymi.

Oby więc dalszym zamierzeniem Radia i Telewizji towarzyszyły dalsze możliwości realizacji potrzeb w zakresie bazy technicznej. Nasz dorobek narodowy musi być zasilany przez kulturę plus postępy techniczny.

metaforze, a taka w dużej mierze jest poezja, istnieją jakby dwie warstwy pojęć, dwie warstwy wyobraźni.

Ta głębsza warstwa, bardzo często jest wyrazem wewnętrznych, nie zawsze w pełni jasnych dla samego twórcy, tęsknot i skłonności. Jest jakby podświadomością utworu literackiego. Analizując to podglebie wyobraźni, można by wiele powiedzieć o prawdziwych intencjach poety. W metaforze, tak jak w geście człowieka, kryją się jakieś atawizmy wyobraźni. Poprawianie ręką frzyzury w chwili zmieszania — ma być podobno atawistycznym reliktem obronnego gestu człowieka dziecka, który mógł spodziewać się w każdej chwili niebezpieczeństwa grożącego od tyłu. Ilek takich atawizmów wyobraźni może się ukrywać w poezji! Jednym z nich jest na pewno urzeczenie przyrodą, pozostałość po lęku i zachwycie wobec żywiołów, w których władzy był człowiek pierwotny.

W istocie metaforyka większość poetów współczesnych czerpie nieustannie ze świata przyrody, tak jakby człowiek był ciągle jeszcze związany z przyrodą i pozostawał w ścisłej zależności od niej. Krótko trwał futurystyczny entuzjazm dla miasta, urbanizacji i świata techniki. A nawet i tam miasto wyrastało wyobraźnią z przyrody i wrosło w przyrodę na powrót.

Przytoczmy dla przykładu choćby wiersz *Przybysia* z tomu „Sponda”. Obraz budowy miasta poeta wprowadza z wizji przyrodniczej. Miasto jest przerośnięte przyrodą poprzez światła metaforyczne:

Z dwuramion zasianych
[w budującym się domu
sięgając po zwieszane owoce czoł.
Gdy ściany obradzają jagodami sżyb
i murawa kamieni nieciera na mur.
Na rozległej niwie betonu, na której
zlegnął w krwi elektrycznej gram...

Właśnie dzięki temu, że poeta osłabł obraz budowy miasta, obraz nowoczesnej techniki na sferze atawizmów — rolniczo-lesnych naszej wyobraźni obraz tym gwałtowniej przenika do

(Dokończenie ze str. 5)

O duńskich Polakach

(Dokończenie ze str. 3)

I dalsze przykłady już natury ogólnej: W swych wędrowkach po duńskich bibliotekach i księgarniach nie spotkałam żadnej książki i gazety w języku polskim (na Lollandzie i Falster nie byłam, ale Polacy są raczej rozrzućni po całym kraju). Bibliotekarze informowali mnie: nie mamy, bo nikt nigdy o nie nie pytał (nawet w Kopenhadze w Głównej Bibliotece, a w Kopenhadze mieszka ponad 1000 Polaków). Trzeba tu dodać, że biblioteki te posiadają duże księgozbiory w językach obcych: szwedzkim, norweskim, angielskim, niemieckim, francuskim.

Z pewnością duńscy Polacy widziani od strony oficjalnej, od strony Związku Polaków w Danii mogą być tacy, jak to opisuje Sergiusz Jaśkiewicz. Ale ludzie, którzy nie muszą oficjalnie deklaruować swoich uczuć do starego kraju, nie są na tzw. cenzurowanym, bywają inni, stąd właśnie również i takie rezultaty moich podglądów i podpatrywań. Zresztą nie widzę w tym większej tragedii. To tylko nasza megalomania narodowa każe wszystkim sercem emigracyjnym „bić głośno dla Kraju” — to tak ładnie brzmi. Zostawiwszy jednak na boku sentymentalizm, należy przypomnieć stare, ludowe przysłowia: kiedy wejdziesz między wrony... A więc po co tworzyć fałszywe złudzenia? Trzeba określić naturalną kolej rzeczy: kiedy dobrowolnie staje się ktoś obywatelem jakiegokolwiek kraju, zrywa z własnym i musi dostosować się we wszystkim do wymogów i zwyczajów nowego. A to, czy tęskni czy nie, czy śnią mu się w nocy wierzby na polskich bezdrożach — to są tylko wymagania naszego narodowego romantyzmu. My, w kraju, każemy tym na obczyźnie tęsknić i śnić o pobielanych ścianach. A czasy sienkiewiczowskich latarników dawno minęły. Mimo to tkwi w nas jeszcze pojęcie emigracji przymusowej, wielkiej i małej, politycznej i zarobkowej, kiedy setki i tysiące wychodziły na turlackę i nie miały możliwości powrotu do kraju. Dzisiejsza emigracja zmieniła zupełnie charakter. Stosunki między państwami zostały unormowane, kto chciał, ten wrócił. Kto został, ten został dobrowolnie i nie chce wrócić (choć może to zrobić w każdej chwili). Cóż bowiem wobec wielkiej miłości ojczystego kraju i tęsknoty za nim, spędzającej sen z powiek, znaczy argument: stracę majątek, musiałbym zaczynać od nowa. Nie przesadzajmy więc z tą tęsknotą. I nie przesadzajmy z tym „gorącym biciem serca”, bo kiedyś dźwigali kraj z ruin wojennych i kiedyś odbudowywali go — większość tych Polaków zbijała majątek.

Druga grupa Polonii — to ci, których zagnała tu burza wojenna i którzy zostali. Ci wprowadzili w spokojne życie Duńczyków nieco zamieszania. Prowadzili spory i kłótnie polityczne, organizowali opozycję wobec starych polonusów, gorąco komentowali wydarzenia w ojczystym kraju. Wielu z nich odegrało nie najpiękniejsze role, potem się uspokoił i teraz od czasu do czasu zbierają się na „Polaków rozmowy”. Niezależnie jednak od poglądów rosły ich zasoby materialne.

I wreszcie ostatnia grupa Polonii — to ci, którzy w ostatnich latach wybrali tzw. wolność. Ludzie, którzy stworzyli sobie fałszywą wizję Zachodu, gdzie tak łatwo się żyje. Oczywiście w duńskiej Polonii stanowią oni najniższą klasę. Traktuje się ich pogardliwie i potępia. Jest to zresztą bardzo niesprzyjemna grupa ludzi. Zdraycy, uciekinierzy — tak ich też traktują Duńczycy. Życie nie ściele się im po różach. Młot kraju, bezstronnego próżnowania, przysł. Rzeczywistość jest taka: trzeba ciężko i wydatnie pracować (najczęściej fizycznie), oszczędnie żyć; gdzie te polskie czasy, kiedy praca przepływała między palcami! Więc harują jak konie i ciulają, ciulają, by kiedyś do kraju wrócić koniecznie własnym luskusowym samochodem i w szybkim czasie roztrwonico to, co zaoszczędzili (będą potem, jeśli uda im się wrócić, opowiadali cuda, jak żyli i jak się bawili, choć teraz wolą chodzić pieszo, niż wydać 85 öre na tramwaj). Ci dopiero tęsknią! Mimo kilkuletniego pobytu, nawet nie nauczyli się posługiwać duńskim językiem. We śnie i na jawie widują „pobielane, polskie

... w dzień patrzę w słońce, a nocą w księżyc i myślę, że to samo, słońce i ten sam księżyc świecą nad Polską. Myślami błądzą po ulicach swoich miast. Kiedy polski statek zawija do portu w Kopenhadze, idą i placzą z radości. Wzruszające, prawda? I to wcale nie jest wymyślona bajeczka, ale najprawdziwsza prawda (i o tym słońcu, i o snach, i o placzu w porcie),

(Dokończenie ze str. 4)

wrażliwości czytelnika, uruchamia ją, włączając się w najskrytsze elementy pra-wyobraźni.

Potężne wizje Chlebnikowa dotyczące miasta, wielkich hut i pieców — również czerpały z tego wyobraźniowego podglebia, kłosa pszenicy szumiały w wielkiej hali pieców, a miasto bieгло rosnąc jak biała lodyga rośliny pnącej się po kiju.

We wstrząsającej wizji wiozła „Młot” Chlebnikow pomieszał żywioły przyrody z dziełami rąk ludzkich:

Ciemną ręką w ogniu się kąpiąc,
Grzbiem głębiną, uruchamia ją,
I czarnym ciemieniem wysokich ciał
Dotykając młota.

Jak kruk groźny leciał młot
Na kowadło rusalczanego ciał,
Na fale morskiego potopu...
A on wylamywał oczy i ręce
Kruczym kamiennym boginiom,
Ażby wyrósł żelazny syn.
Jak kłosa na polu zakwitł.

Człowiek współczesny, mieszkaniowiec miasta, wybiegający ze swej szklanej norki w wielkim bloku mieszczącym setki rodzin, śpieszący się pośród zgrzytu żelastwa i pędzących maszyn kamiennym tunelem ulicy — ten człowiek posiada mało, bardzo mało rzeczywistych związków z przyrodą. Światła latarni nie pozwalają mu nawet ujrzeć wieczornej gwiazdy, a domy przesyłają żurzę zachodu. Pogoda wpływa trochę na jego humor i na stan podeszew jego bucików — poza tym przyroda jest światłem wakacyjnego wypoczynku, światłem, który przeciw także coraz bardziej ulega zniszczeniu i zniekształceniu przez wrogi świat techniki. I oto ten człowiek jako poeta żyje pośród żywiołów przyrody, tak samo jak jego praojciec odkryty skórą upolowanego przez siebie niedźwiedzia. Niedźwiedzie, lisy i lwy nawiedzają jego sny i jego wyobraźnię, choć nigdy nie stał z nimi na wolności oko w oko:

(Dokończenie ze str. 3)

tomny. Wylano mu butelkę wody mineralnej na głowę, zawleczono do walizki. Trochę oprzytomniał, zrozumiał. Trzeba było ciąć nożem, klucza oczywiście rzekomy właściciel nie miał. Udało mu się odłączyć palące się przewody. Walizkę z jej zawartością rzucono w ocean.

Generał nie pozwolił rozgłaszać tej sprawy. Plk. Kl... znalazł się prosto w sanatorium dla narkomanów.

Trzeci zamach planowany był na Bliskim Wschodzie, w obozie w okolicach Bagdadu. Ciągnięto nawet losy, który wyrok wykona. Istniały omawiające tę sprawę dokumenty w poselstwie polskim w Kairze. Nie wiadomo, czy się zachowały, czy je zniszczono. Podobno desygnowany wykonawca wyroku załamał się i cofnął, odruchem sumienia.

O tym trzecim przygotowywanym zamachu krążyły jeszcze przed podróżą gen. Sikorskiego pogłoski w Londynie. Generał Haller, kilku pułkowników, Tadeusz Kiełpiński, prosili generała, by zaniechał podróży, która, ostatecznie, nie była niezbędna.

— „Żołnierzem jestem, polecę”, — brzmiała odpowiedź. Działo się to jakieś 3—4 tygodnie przed Gibraltarem. Ten rozdział, ostatni, kiedyś napisze kto inny. Zapewne po roku 2002 dopiero. Nie rozporządza dostateczną ilością realiów, by samemu sobie móc odpowiedzieć — zamach czy katastrofa.

Jedno jest uderzające w tym wszystkim — gdy zginął książę Kentu, gdy zginął Sikorski, komentarz radiowy brzmiał: uratował się tylko pilot...

Czy dlatego jedynie, że samolot typu „Liberator” posiadał urządzenie specjalne — za pociśnięciem guzika rozsuwał się dach nad pilotem, a sprężyna pod jego fotelem wyrzucała go w powietrze?

Rzeczowy i sumienny opis wydarzeń gibraltarskich, niemalże godzina po godzinie, dał w swoich wspomnieniach profesor Politechniki Wrocławskiej inż. Jan Różycki*. Walczył on w 10 Bry-

* J. Różycki: „Gibraltar 1943”, „Więź” 1961 nr 7—8.

... którą usłyszałam z ust owych najmłod-
szych emigrantów (może ktoś się obu-
ry, że nazywam ich emigrantami, bo
to przecież uciekinierzy — racja).
Po skończonej pracy (sobota, niedziela),
jeśli nie pracują dodatkowo, zbierają
się razem i wspominają kraj, swoje
miasta, czytają listy z Polski, słuchają
polskich audycji. Myślicie, że audycji
z kraju? Rzadko, bo wolą Wołną Euro-

ATAWIZMY WYOBRAŹNI

nie męczcie
odejdziecie dokąd chcecie
kruki wilcy niedźwiedziowe jelenie
amen
— modlił się po pogańsku Józef Cze-
chowicz.

Przyroda nie poprzez bezpośredni opis, ale poprzez tę głębszą warstwę metaforyczną jest obecna w życiu wewnętrznym współczesnego poety. Dziwne to zjawisko nie da się wytłumaczyć jedynie konwencją poetycką, wtórnym nawykiem sztuki.

Czytając wiersze współczesnych poetów spotykamy raz po raz w warstwie metaforycznej tych wierszy ptaki, gwiazdy, wiatr, chmury, ziemię, niebo i ogień — te wszystkie żywioły ujarzmione już przez człowieka zurbanizowanego. Poeci współcześni mają wprost obsesję żywiołów, często starają się je opisać, dotrzeć do ich pierwotnego, filozoficznego sensu. „Żywioły” to tytuł niejednego tomu wierszy i niejednego utworu.

Poeci wracają jakby do początku. Komplikacje stylistyczne współczesnej poezji są często pozorne. Wyrażają chęć dotarcia do najgłówniejszych, najpowszechniejszych prawd w sposób odmienny od konwencjonalizmu formy i konwencjonalizmu myślenia czyli tzw. zdrowego rozumu. W każdym razie poeta współczesny odznacza się uczuleniem na najbardziej powszechne, można by rzec, najpierwotniejsze sprawy i doznania ludzkiego istnienia. Ambicje filozoficzne i intelektualne poezji wyczerpują się w dążeniu tych podstawowych spraw. Są nimi: miłość i samotność, głód, lęk i śmierć. Iż tomów poezji współczesnej ma za temat jedną tylko z tych żywiołowych spraw ludzkiego życia.

...pe. Wspominając, piją polską lub duńską wódkę (mało, bo droga) i marzą o polskiej kiełbasie. Kiedy idą do portu, to nie tylko po to, aby plakać na widok polskiego statku, ale też, aby pohandlować (zawsze można tanio kupić wódkę, kiełbasę, papierosy) i namówić kogoś na pozostanie.

Ludmiła Tokarska

Poeta współczesny zbliża się w ten sposób do pierwotnego „dzikiego” poety murzyńskiego lub eskimoskiego. Z tym jednak, że tamten umiał w bezpośrednim okrzyku wyrazić głód i że głód jego był jak najbardziej rzeczywisty. Poeta współczesny nie ma możliwości zawołać: chcę jeść! zawołać: umrę! A często wystarczył mu jedynie te proste słowa. Jeśli pokona opory „kultury” czy wiekowego konwensansu sztuki — zdołał artystyczną mądrość równą tej, jaką posiadali poeci dawnych plemion.

Nie nawołuję bynajmniej, jak ongi czynili futurysty, do niszczenia bibliotek i zabytków sztuki, stwierdzam tylko tę tęsknotę do „dzikości”, jaką odczuwa współczesny poeta. W dążeniu powszerechnych spraw ludzkich, w obsesji przyrody i jej żywiołów kryje się ta właśnie tęsknota. Przyczynia się ona również do pewnej anachroniczności poezji w świecie współczesnym. Kto widział potężne elektrownie kierowane przez robotników w białych kitlach, wielkie hale fabryk przypominające laboratoria i zarazem salony — nie widzi w tym świecie miejsca dla poety.

Poezja, z wyjątkiem deklamatorskiego wierszorstwa, nie towarzyszy wyprawom człowieka w czągną noc kosmosu. Poeta w tym świecie aseptycznym i zautomatyzowanym jest dysonansem i zgrzytem. Włazi na posiadki chemicznych fabryk jak prosty drwal z butami oblepionymi ziemią. Ziemia jest jego obsesją i żywiołem. Nie wypowiedział jej jeszcze do końca. Jeszcze ostatnie słowo o ziemi i życiu ciągle nie zostało powiedziane. I mimo że całe wieki kultury i cywilizacji zajmują się ziemskimi sprawami, człowiek wobec głodu, śmierci i miłości, a także wobec pieśni, wobec poezji, jest ciągle taki sam. Zbliża się ku tym podstawowym sprawom i odchodzi od nich, ale odchodzi tylko po to, aby się zbliżyć tym bardziej.

Anna Kamińska

WSPOMNIENIE O WŁADYSŁAWIE SIKORSKIM

gadzie Kawalerii płk. Maczka podczas kampanii wrzesniowej, w bitwie pod Lagarde w I Dywizji Grenadierów, uniknął okrążenia, dostał się do Szwanicari, a stamtąd przez szereg granic dotarł do Gibraltaru, gdzie objął dowództwo przebywającej tam kompanii strzelców i brał z nią udział w ostatniej rewii generała i w uroczystościach żałobnych. Był on świadkiem nauce wszystkim wszystkim wydarzeń gibraltarskich w pamiętnym lipcu 1943 roku. Sprawozdanie rtm. Różyckiego jest najcenniejszym z opublikowanych dotąd dokumentów, a sądzę, że również w przyszłości żaden z historyków tego okresu nie będzie mógł obyć się bez tego tekstu. Nie ma w nim żadnych domysłów, a nawet aluzji. Rzeczowa kronika głęboko wstrząśniętego tym wszystkim, co czuł i widział obok siebie, człowieka.

Prof. Różycki pisze o nocy z 7 na 8 lipca: „Budzi mnie dwu ludzi z warty nocnej. Pękła trumna gen. Sikorskiego... na podłodze (katedry) olbrzymia kałuża z rozkładającej się krwi, której krople spadają z dna trumny. Rany gen. Sikorskiego — a przede wszystkim rozbita głowa, czy to o framugę drzwi, czy o jakąś inną krawędź metalową, szalone upały gibraltarskie... Zle złutowane trumny nie wytrzymały parcia gazów, pękły...”

„Olbrzymia kałuża krwi”. A więc rany musiały być poważne. Przyjmujemy tu świadectwo wiarygodnego świadka, notujemy jedynie, dla porządku, krążącą później po Londynie pogłoskę, że zniszczona była część czaszki generała. Uderzenie zniżającego się samolotu o wodę z wysokości kilkudziesięciu metrów zaledwie nie

mogło spowodować ran, z których wyciekła aż taka ilość krwi. Były przecież pasy ochronne przy fotelach. Nawsuwa się tu pytanie — czy generał już był bez życia, gdy samolot osiadł na wodzie... Bo przecież, jak pisze prof. Różycki, „zaraz po starcie około godz. 23.30 samolot wiozący gen. Sikorskiego, jego córke, gen. Klimeckiego, por. Ponikiewskiego, sekretarza Kłopotowskiego**”) i nieszcześliwego kuriera z kraju, Gralewskiego, w odległości ok. pół mili (800 metrów) wpadł, a właściwie wjechał do morza”.

A dalej: „Maszynę — 4-motorowy bombowiec, Liberator, sprawdzono... Podobno szybko nastąpiło po starcie oderwanie się od ziemi i maszyna, będąc jeszcze dobrze na drodze startowej, zaczęła się wznosić. Wszyscy się już odwrócili, samolot wyszedł z kręgu światła lotniska, por. Lubiński patrzył jednak dalej i zauważył — dzięki pozycjom światła na skrzydłach — że samolot zniżał się i wali prosto w morze...”

Zaraz wystrzelono rakiety oświetlające, samoloty wzbily się w górę, oświetlono reflektorami morze. Samolot leżał na falach i powoli zanurzał się. Jeżeli leżał, to znaczy, że nie wpadł jak kamień w wodę, że nie roztrzaskał się, i woda powoli dopiero dostawała się do wnętrza. W takich warunkach następuje zwykle śmierć od utopienia i niezbyt prawdopodobne się zdaje, by generał w chwili zetknięcia z falą, przypominającego wodowanie hydroplanu, odniósł aż tak poważne rany, by później, z pękniętej trumny, wypłynęła „olbrzymia kałuża krwi”.

Starając się sprawy te obiektywnie naświetlić — można tu tylko powtórzyć, że prawda o zdarzeniach na pokładzie „Liberatora” ogłoszona została dopiero po 2002 roku, o ile jakieś dokładne wiadomości nie przedostały się przedtem do wiadomości publicznej.

Edward Ligocki

** Nazwisko to jest mylnie podane; brzmiał on: Kulakowski.

WIDAĆ JUŻ że coś się zmieniło

I

...Mieszkam w większej wsi zwanej osadą. Okolice są śliczne. Dużo lasów... Na wsi mieszkać dopiero od dwóch lat, — jestem bibliotekarką.

Sprawy kultury znajdują się tutaj na ostatnim planie. Byłam naprawdę przerażona, gdy przewodniczący powiedział mi: „a co tam biblioteka, ten czyta książki, kto nie ma co robić. Skup, proszę państwa, to jest ważne, a kino i biblioteka mogą dla mnie nie istnieć”. Zapamiętałam sobie to zdanie, opłakałam i bardziej jeszcze zniechęciłam ludzi, którym nie jest droga książka. Przez dwa lata wejście do biblioteki było tragiczne, dzieci bały się wchodzić, a matkom podawałam książki oknem na sznurku. Po długich awanturach zrobili mi schody, ale takie, że znowu chyba będę musiała podawać książki oknem.

Na dole, w Gromadzkiej Radzie, mają przyjemne pokoiki. Dywany, ładne biurka, widoki na ścianach. A u mnie jest to, co im ukradnie.

Przewodniczący jest jak na dane środowisko jeszcze dość kulturalny.

Lubię pracować z ludźmi. Wystawiałam kilka sztuk teatralnych. W moim zespole była nawet babka dwojga wnucząt. Wszystko byłoby dobrze, gdyby Rada Gromadzka choć trochę mi pomagała...

...Dlaczego inne wsie podobne do mojej są jednak zupełnie inne. Przecież pomimo najlepszych chęci, bez pomocy tak ważnej instytucji, jaką jest Gromadzka Rada Narodowa, nie sama nie zrobię. Pisałam już w tej sprawie do gazety, nawet mi nie odpowiedzeli, choć tak gorąco ich zapraszałam, aby przyjechali i sami sprawdzili...

To były sprawy smutne, lecz jest i kilka przyjemnych. Obecnie na głównym placu u nas znajduje się skwerek, trochę kwiatów i kilka lawek. Są to rzeczy jeszcze bardzo prymitywne, lecz już miłe i robiące dobre wrażenie na przechodniach. Budują świetlicę strażacką, uprawdzą już od roku, lecz jest nadzieja, że coś kiedyś będzie. Teraz poza kinem nie mamy innych rozrywek. Szkoda jednak, gdyż to jest naprawdę przyjemna miejscowość... Chciałabym bardzo, żeby podano nam, pracownikom kultury, pomocną dłoń. Gdzie jest dobry gospodarz, tam i gospodarstwo jest wzorowe...

II

...Pracę swoją w świetlicy gromadzkiej rozpoczęłam 1.V.1955 r. zupełnie przypadkowo; będąc w powiatowej R. N. zaproponowano mi, ponieważ pracownik opuścił placówkę bez wymówienia i zgody GRN.

Po złożeniu podania przystąpiłam do pracy z drzeniem serca, bo gdy mi wypadło przechodzić wieczorem koło świetlicy, obawiałam się, aby nie dostać przypadkiem kamieniem w głowę, młodzież była tak rozpuszczona, że przechodząc tamtędy słyszało się wrzaski, piski niesamowite, piękne słowa.

Ogarniała mnie rozpacz, że nie poradzę sobie. Szukałam książek, czytałam długo w nocy, aby codziennie wnieść coś nowego. Założyłam zespół czytelnicy, zespół dramatyczny, zorganizowałam kurs gotowania, szycia, później wycieczkę do Krakowa... I tak stopniowo młodzież zmieniła się na lepsze. Od czasu do czasu miałam jeszcze jakieś niemile zajścia, ale po trochu i to się zlikwidowało. Były wielkie trudności w robieniu prób, ponieważ nie było gdzie ich robić, robiłam więc u siebie w domu — ponieważ to był mój konik. Już od najmłodszych lat organizowałam zespoły amatorskie.

W 1956 roku zapisałam się na kurs reżyserski w Krakowie organizowany przez Związek NP i CPARA, kurs trwał trzy lata. Następnie skończyłam studium reżyserskie w 1959 r. w Krakowie, dało mi to b. dużo. Obecnie pracuję w dużo lepszych warunkach w naszym nowym Domu Kultury, ale ciągle moją udręką jest, że nie mogę zwerbować starszego społeczeństwa, każdy się tłumaczy brakiem czasu.

Świetlicę urządziłam dość przyjemnie, w cknach ładne firany i cepeliowskie zasłony, trochę flakonów, tylko niepotrzebnie umieszczono boler do wody w świetlicy. Jest radio, adapter, różne gry stolikowe, 13 egzemplarzy

W miesiącu maju zorganizowałam zespół muzyczny 10-osobowy na mandolinach i akordeonach. Zespół prowadzi instruktor opłacany przez uczestników.

Teatr przyjeżdża co miesiąc, sala widowiskowa jest zawsze pełna, mimo że ludność narzeka na drogie bilety. Jeśli zaś damy spektakl bezpłatny, to wtedy za mała jest sala widowiskowa.

Moją udręką jest, że ludność na różne rozrywki przychodzi bardzo chętnie, natomiast gdy organizuję jakieś odczyty, starsi nie chcą przychodzić. Ubiegłego roku zorganizowałam cykl pogadanek lekarskich. Wszystkie uczestniczki kursów przychodziły, ale po wyjściu niektóre były tak zgorzognałe (po wykładach świadomego macierzyństwa), że trudno było gdzieś się pokazać, bo człowiek był obrzucany epitetami.

Jeśli chodzi o mnie, to lubię swoją pracę, chociaż niejednokrotnie jest mi ciężko robić wszystko samej, czasem wyśmiewana jestem za swoją gorliwość, ale i to mnie nie zraża.

Oburzona jestem tylko na to, że władza terenowa, np. przewodniczący naszej gromady, traktuje sprawę kultury na ostatnim miejscu i trzyma się tylko paragrafów.

Podczas seminarium dla inteligencji terenowej zorganizowanego przez Uniwersytet Ludowy w Rożnicy w końcu ub. r., przeprowadzono rodzaj ankiety; uczestnicy seminarium (wielej pracownicy kulturalno-oświatowi województwa: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego) pisali o swoich troskach i osiągnięciach zawodowych, o trudnościach, jakie napotykały w swej pracy. Z kilkunastu wypowiedzi Czytelnik „Kamień” znajdzie tutaj fragmenty pięciu najbardziej charakterystycznych. Treść ich pozwala nam wstrzymać się od komentarzy. Trzeba natomiast podkreślić, że dla niektórych działaczy — pełnych poświęcenia i dobrych chęci, ale często pozostawionych własnemu losowi — dwutygodniowe seminarium rożnickie było pierwszą od kilku lat okazją do zacerpnienia szerszego oddechu.

„Konieczność naszego seminarium — pisali — wynika nie tylko z jego użyteczności, lecz przede wszystkim z głębokiej potrzeby wewnętrznej uczestników”.

„Spotkania z wybitnymi twórcami różnych dziedzin sztuki, rozmowy i wykłady pomogą mi w dużym stopniu rozwijać pracę kulturalno-oświatową w moim środowisku”.

„Te dwa tygodnie to niemal codzienna uczta duchowa, to wydarzenie więcej niż codzienne w moim życiu. Tak bardzo żyzyłbym sobie więcej takich spotkań”.

Wyjechali z Rożnicy przekonani, że w ich życiu coś się jednak zmieniło.

(Przy opracowaniu niniejszych wypowiedzi starano się zachować styl autorów. — Red.)

III

...W roku 1961 uzyskałam maturę. „Teraz droga życia stoi przede mną otworem”. Tak myślałam w pierwszych dniach po uzyskaniu świadectwa dojrzałości. Jak zupełnie w innym świetle ukazała się potem rzeczywistość. Moim marzeniem od dziecińczych lat było studia. Akademia Sztuk Pięknych. Niestety, warunki materialne nie pozwoliły mi na tak długie studia, a może bym tam sobie nie poradziła? Zdecydowałam się pójść do Studium Nauki i Techniki, kierunek: rysunek i praca ręczna. Długo to jednak nie trwało. Zachorował Tataś i już z coraz większym trudem mógł mi przysłać te 250 zł miesięcznie. Przeniosłam się więc po zakończeniu I semestru na studia zaoczne. Poszłam do pracy. Otrzymałam placówkę w powiecie...

To było 15 lutego 1962. Przyjechałam do X. Przewodniczący GRN znalazł mi mieszkanie.

W tym moim pokoiku zimno było jak w psarni. Ciągle siedziałam pod kołdrą. Dodać do tego trzeba, że szkoła też była bardzo zimna. Zawsze mi było zimno, nigdzie nie mogłam się zagrzać. Całą zimę miałam katar i leką temperaturę. Przewodniczący GRN wiedział o tym, że tak zimno jest w szkole, ale co to go obchodziło, że nauczyciele tracą swoje zdrowie, że dzieci siedzą na lekcjach w palciach i trzęsą się z zimna? Węgla nigdy nie wystarczało.

Pracownicy GRN to byli ludzie powołani na te stanowiska z przypadku. Oni potrafili, nawet w godzinach pracy, a co już mówić poza godzinami zamienić lokal swego biura na karczmę. Pili dotąd, no bo tam nie można było żadnej sprawy bez wódki zalać, aż nie mogli stamtąd wyjść, no więc nocowali na stołach, które tam stały. Sama raz widziałam to przez dziurkę od klucza, bo okiennice były pozamykane — leżeli na stołach jak tuczniaki do góry brzuchami.

Podobna sytuacja była z moim gospodarzem. Gospodyni harowała jak wół. Gospodarz natomiast jak zaczął pić w niedziele, to kończył w sobotę. Wracał późno w nocy, kiedy gospodyni położyła się już na spoczynek. Budził ją. Kazał sobie robić koiacę. Często wtedy zwymyślał i bił ją. Słyszałam to przez ścianę. Szłam bronić gospodyni,

bo to przecież była kobieta — matka mego najdroższego, kochanego, studenta WSR. Często i ja wtedy płakałam.

Napisałam podanie do Komendy Powiatowej MO, ze skargą. Podpisy złożyło 20 kobiet. Niestety wszystko wzięło w łeb. Komenda Powiatowa odesłała to podanie do milicji miejscowej, która chodziła po wsi i pokazywała podanie meżom tych kobiet. Pogorszyło się tylko piekło w rodzinach.

Chcę napisać jeszcze kilka słów o kierownicze szkoły, w której pracowałam. Nasza kierowniczka przyjeżdżała do szkoły o godz. 8, a odjeżdżała o 13.30. Cóż ona mogła zrobić poza lekcjami? Ona szkołę traktowała jako bazę dochodową (miała na utrzymaniu dziecko i męża-szewca, a właściwie bez zawodu, który był w wojsku), ale nigdy nie czuła się prawdziwą nauczycielką. Ona raczej była „działalczą”, była i sekretarzem POP, ale też nie robiła tego szczerze, bo często zaglądała do wiejskiej cerkiewki. Kwalifikacje zawodowe zdobywała na kursach. Skutkiem tego, robiła moc błędów ortograficznych, np. w protokole z przekazania szafy z pomocami naukowymi memu koledze zrobiła 10 błędów ortograficznych. Kiedy pisała, oko nam białalo, ale cóż my mieliśmy mówić, — to przecież jest nasza przełożona.

człowiek człowieka może doprowadzić do takiej ruiny...!

Cóż ja jedna mogłam zdziałać, aby zmienić złe na dobre? Ta ciągła walka zniechęcała mnie, to mnie przekonywało, że ideały są być może piękne, ale nie zawsze dają się wcielić w życie.

Wież w której mieszkałam, miała dobrze zaopatrzoną bibliotekę, była zelektryfikowana, dużo ludzi miało radia, często przyjeżdżało kino objazdowe... Ale pozostać tam nie chciałam.

IV

...Pojechałam tam, rzec by można, na zapotrzebowanie miejscowej ludności. Mieszkańcy X chcieli śpiewać, recytować, grać sztuki teatralne, grać w zespole instrumentalnym. Właśnie chcieli tego sami, nikt im niczego nie sugerował, nikt nie zmuszał do niczego.

X. to wieś gromadzka. Ze światłem elektrycznym, ładnymi chodnikami, skanalizowana. Jest tam duży ośrodek zdrowia, apteka, 12 sklepów, dwie szkoły podstawowe. Jest kino stałe i oczywiście Gromadzki Dom Kultury. Jest także Gromadzka Biblioteka Publiczna, Gromadzki Dom Kultury, jak na warunki wiejskie, ma całkiem przyzwoite pomieszczenie. Duża sala wykładowa, sala bilardowa, sala bajek — ta przeznaczona jest wyłącznie dla dzieci, czytelnia. Pracuję z zespołem dramatycznym i estradowym. Niezależnie od nich, pracuje i dobrze rozwija się chór męski i dziecięcy zespół mandolinistów. ...Poza takimi organizacjami, jak ZMW, TPRP, ZBoWiD, KGW, rodząca się dopiero organizacja Towarzystwa Miłośników Ziemi Białoruskiej, istnieje również i bardzo aktywnie pracuje Ukraińskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe.

Mieszkańcy tutejsi wiedzą czego chcą. Chłopi śpiewają w chórze, występują w sztuce, uczęszczają na wykłady. Potrafią skonkretyzować swoje zainteresowania. Za to nasza inteligencja, poza ciuaniem na samochód, niczym się nie interesuje.

Nadzwyczaj dobrze układają się stosunki z władzami powiatowymi. Nie dziwnego, przodująca gromada w powiecie.

Nie mogę powiedzieć, że straciłam bardzo wiele zamieniając Lublin na wieś. Wsi nie trzeba się bać. Nie mam tu oczywiście teatru, dobrych filmów, brak mi trochę kawiarni i koncertów. Filharmonii, nie żałuję jednak tego, że jestem na wsi, a nie w mieście. Praca w mieście nie była tak ciekawa jak tutaj. Miasto ma dużo ludzi o różnych zainteresowaniach, a na wsi każdy człowiek jest bardzo potrzebny.

V

...Posiadam wykształcenie średnie techniczne. Skończyłam Państwowe Gimnazjum i Liceum Przemysłu Włókienniczego w Łodzi. W zawodzie swym pracowałam tylko 13 miesięcy przed wojną. Natomiast po ukończeniu służby wojskowej nie pracowałam przez okres 3 lat, ze względów zdrowotnych. Do zawodu swego nie mam zamiaru wrócić, gdyż przemysł ten nie odpowiada memu zdrowiu. W swym środowisku prowadzę bibliotekę gromadzką oraz ryczałtowo świetlicę. W przyszłym roku mam zamiar iść na studium do Krakowa dla działaczy kulturalno-oświatowych, które trwa 2 lata i 5 miesięcy. Najgorszą przeszkodą w mej pracy jest to, że posiadam lokal jednoizbowy bardzo mały, pod jednym dachem z Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej (dotyczy biblioteki), nie posiadam czytelnia. Co do izby bibliotecznej — jest ona po celi aresztu dawniejszego. Możliwości lokalowe są dość dobre, żeby uzyskać lokal dwuizbowy. Ale cóż z tego, gdy istnieje niedbalstwo ze strony Prezydium. Brak zainteresowania, kulturę w Gromadzkiej Radzie stawia się na szarym końcu, w ogóle nie bierze się pod uwagę. Wtedy robi się coś, gdy przyjedzie kierownik wydziału kultury i dosłownie siądzie na kark przewodniczącemu, a gdy odjedzie, sprawę traktuje się nadal po macoszemu. To, co nadmieniałem powyżej, było do chwili objęcia mego stanowiska. W tymże samym czasie przyszedł nowy sekretarz gromadzki, który jest również sekretarzem POP w gromadzie. Sprawa ta radykalnie się zmieniła na dobre. Jest to człowiek energiczny, posiadający młodzieńczy zapał do pracy społecznej. Gdy objął to stanowisko kilka miesięcy temu, potrafili już doprowadzić do dawniejsze miasteczko do czeskiego porządku. Brak było nawierzchni twardych na ulicach. Zostały uzupełnione. Założył park, oraz zrobił wraz ze społeczeństwem zielenie kwiatniki przy chodnikach. Z pomocą społeczeństwa zgromadzono materiał budowlany na Gromadzki Dom Kul-

Gdzie jest mój dom?

HANNA MUSZYŃSKA-HOFFMANOWA

skonałe zdają sobie sprawę, że ta cyfra 64 oznacza jednocześnie sześćdziesiąt cztery istnienia małych ludzi, które wymagają indywidualnego zupełnie traktowania. Nie każdy też problem da się rozwiązać pomyślnie. Na przykład Heniek również pochodził ze środowiska wiejskiego na Podlasiu. Heńka również „wyłuskał” kurator — wprost od kulaka, u którego za przyrodzielek i odrobiny stawy pasł krowy. Ale losu zasupianego przesadami i dewocją — nie mogli już rozwiązać przyjaciele z Domu Młodzieży. Tu trzeba było pomocy starszych — doświadczonych, kierownictwa, a także kuratorium. Bo zdaniem Heńka, gdy stał się wychowankiem z ulicy Słonimskiej, świat dzielił się na dwa obozy. Złych i dobrych. W obozie pierwszym znajdowało się całe społeczeństwo polskie od dzieciarni aż po siwy włos. W drugim jedna jedyna osoba. Matka Heńka. Jej to właśnie ten zły świat kazał się wstydić panińskiego dziecka. Biedna mama. Nieraz chciała ucałować swego syna, ale gdy przychodziła do gospodarza Heńka, słyszała stałe i nieodmienne przywitania: „Wy do swego, bękart?” Najpierw odchodziła z płaczem, później unikała Heńka. A przecież Heńka kochała — na pewno, szczerze i gorąco. To wiedział dobrze sam. Teraz kierownik rozmawiał serdecznie z Heńką matką. Wkrótce młoda kobieta zaczęła pracować w jednym z Państwowych Gospodarstw Rolnych w pobliżu Białegostoku. Co niedziela odwiedzała syna. A gdy upłynął rok, w kancelarii odegrała się wzruszająca scena. Przy biurku stał czterdziestoparoletni mężczyzna i jasnowłosa młoda o delikatnym wyglądzie kobieta. Mężczyzna powiedział: „Więc myśmy chcieli zawładnąć kierownictwem Domu o naszym ślubie. Tak, ożeniliśmy się dwie niedziele nazad. A miejsce dziecka jedno — przy matce. Dlatego wziąłem Henia za swego. Jedziemy na Mazury — do

PGR, gdzie nas nikt nie zna. We trójkę. Dziękujemy panu kierownikowi za trud przy Heńku, ale zabieramy Heńka ze sobą. Niech Państwo Ludowe chowa zamiast niego innego chłopaka, który nie ma ani ojca, ani matki”.

Proste, uczciwe słowa. Kierownik Maliszewski uczył że wzruszenie ścisła mu obręczał krtań. Odwrócił się spieszenie i zagłębił w aktach w teczkę, na której widniał napis: Henryk S.

A Heniek? Przed Heńkiem otworzyło się siódme niebo. On miał rodziców. Jakich rodziców! Jego tata jeździł na traktorze. Jego tata powiedział: „No, matka idziemy kupić chłopakowi czapkę. Niech chłopak ma”.

Milczek i ponurak rozgadał się jak trajkotka. Cały tydzień mówił — kierownictwu, wychowawcom, kolegom — o swoim mądrym, dobrym ojcu. Później pojechał.

A kierownictwo stanęło przed nowym zagadnieniem: jak rozwiązać sprawę Misi R. Dwunastoletnia Misią przyjechała do Domu Młodzieży ze szczególną diagnozą lekarską. Cierpi na brak witaminy „MM” — miłości matczynej. Przypadek Misi zalicza się naprawdę do niebanalnych. Mądra, miła, zdolna dziewczynka, przebywając w Domu Dziecka w Oświęcimiu, zainteresowała się pewną bezdzietną lekarką. Pragnęła małą przysposobić, a Misią pokochała serdecznie „mamę” w białym fartuchu. Zdawałoby się — happy end. Tymczasem, gdy sprawa adopcji dziewczynki znalazła się w sądzie, nastąpiła niespodziewana komplikacja. Kobieta, która urodziła Misią, powiedziała „nie”. Sytuacja nabrała dramatycznych momentów. Lekarka powiedziała sędziemu tak: Kocham Misią i w imię tej właśnie miłości oddaję ją matce. Zostanę jej „ciocią”.

I tak Misią, stęskniona miłości dwunastoletka, przybyła na Podlasie po swoje wielkie — ponad siły dziecięce — rozczarowanie. Matka Misi, kobieta

Inteligentna, wykształcona, ujęła sobie już życie. Miała męża, trójkę dzieci. O panińskim „biedzie” z lat studenckich nie wiedział w mieście nikt. Zjawienie się Misi w Białymstoku przywitała jak katastrofę. „Co powie mój mąż, co powie moja rodzina” — rozpaczała. Kierownictwo podjęło się roli mediatora. Ojczym postawił warunki: „Owszem, Misią może do nich przyjechać, ale tylko w odwiedziny. Uchodźcie będzie za chrześną córkę pani domu, młodsze przyrodnie rodzeństwo nie będzie w tajemniczone w całą historię. Zaproszenie do domu rodzinnego oznaczało: dwa tygodnie — nie dłużej.

Ale Misią wróciła już po pięciu dniach. Splanana, z gorączką. Biedna Misią. Przekonała się sama, że jej wyteściana, wysniona mamusia — to nerwowa, szorstka kobieta, skąpiąca pieszczot swej pierworodnej, drżąca, by podczas pobytu w domu mała nie wyrwała się z czymś niestosownym, z czymś demaskującym. A tymczasem z Oświęcimia nadeszła paczka i list. „Najukochańsze moje Misiątko” — pisała lekarka. Misią zasnęła z listem „cioci” w ręku.

Kierownik raz jeszcze zwrócił się do matki: „Prosimy o zezwolenie na adopcję. Nasza przyjaźń, nasza opieka, nasze uczucie w wypadku Misi nie wystarczą. Albo dziewczynka bez dalszej zwłoki znajdzie się w domu oświęcimskiej lekarki, albo pozostanie istotą wykoślawioną psychicznie na całe życie. Trzeciej drogi nie ma”.

I stała się rzecz osobliwa. Kobieta, która wstydiła się swej córki, której córka komplikowała uregulowane mieszczańsko cnotliwe życie, znów twardo powiedziała „nie”. Niezbadane są tajniki człowieczego serca.

— Cóż — konstataje kierownik Maliszewski — należy wystosować wniosek o adopcję bez zgody rodzicielskiej. W tym konkretnym wypadku musi rozstrzygnąć paragraf „dobro dziecka”.

Misią więc przebywa ciągle w Domu Młodzieży Nr 2 i oczekuje listów z Oświęcimia.

A na biurku kierownika rośnie znów sterta teczek. W każdej nowy problem, w każdej smutne dzieje małego człowieka. Którego jest, jak powiedział pewien mały wychowanek, „niczyj — tylko Polski”.

POTRZEBA przywilejów

KRZYSZTOF WÓJTOWICZ

13 stycznia 1867 roku deputowani magistratu i zgromadzenia radnych miejskich w pruskim mieście Królewcu opublikowali w oficynie drukarskiej pana Gonschorowskiego memoriał pod adresem Towarzystwa Budowy Wschodnio-Pruskiej Kolei Południowej. Postulowano konieczność budowy linii kolejowych na trasach Elk — Białystok oraz Wydminy — Olecko — Białystok.

„Proponujemy Radzie Administracyjnej do bliższego zbadania projekt przewidujący kontynuowanie linii południowej do Polski. Linia ta umożliwi... eksport bogatych wyrobów z głębi Mazur w postaci drzewa i ryb do Polski... Zasięgu obustronnego przywozu i wywozu, któremu służyłyby również w Polsce ważne drogi wodne Bugu, Narwi i Wisły, nie można pewno dostatecznie wysoko ocenić, a w każdym wypadku daleko przekroczy on przewidywania”.

Memoriał przedstawili jego twórcy w dobrze rozumianym własnym handlowym interesie Radzie Administracyjnej Towarzystwa Budowy Wschodnio-Pruskiej Kolei Południowej. Ale ten przykład sprzed stu lat przesłodził, jak i wiele mu podobnych, wcześniejszych i późniejszych, wskazuje, że na przestrzeni historii tereny, które dzisiaj zajmują powiaty Elk, Olecko i Goldap, powiązane były w różny sposób i w różnych okresach z dzisiejszym terenem województwa białostockiego. Od roku 1945 trzy wymienione powiaty stanowią integralną część gospodarczego organizmu tego województwa. Początki polskiej gospodarki na tych ziemiach były bardzo trudne na skutek ogromnego zniszczenia w okresie działań wojennych majątku trwałego. W latach 1945—1957 dokonano tutaj sporego wysiłku nad

odbudową zniszczonych regionów, ale istniała mimo to potrzeba wprowadzenia preferencyjnej polityki gospodarczej. Praktycznym wyrazem zrozumienia tej potrzeby było posiedzenie w dniu 10 października 1961 roku rządowej Komisji Rozwoju Ziemi Zachodnich. Komisja obradując wówczas w Elku pod przewodnictwem wicepremiera Zenona Nowaka — podjęła uchwałę w sprawie rozwoju gospodarczego powiatów: Elk, Goldap i Olecko. Zostały określone podstawowe kierunki dzisiejszej działalności w trzech powiatach mazurskich wynikające z lokalnych rezerw produkcyjnych, przyznano dodatkowe środki inwestycyjne na rzecz rolnictwa, drobnej wytwórczości, usług i turystyki.

Niniejsze uwagi chciałbym poświęcić właśnie temu ostatniemu zagadnieniu — turystyce. W województwie białostockim można wydzielić w zasadzie dwa regiony wypoczynkowo-turystyczne, z których jeden ma wszystkie cechy odpowiadające kryteriom regionu wypoczynkowo-turystycznego, drugi zaś można określić tylko jako potencjalny. Pierwszy to region suwalsko-augustowski, którego walory turystyczno-wypoczynkowe są znane mieszkańcom kraju nie od dzisiaj, a drugi, ten potencjalny — to region olecko-rajgrodzki. Jest to teren o walorach przyrodniczych niewiele mniej atrakcyjny niż region suwalsko-augustowski. O pięknie tych okolic mogą dużo powiedzieć lubelscy studenci, którzy w okresie letnim chętnie korzystają z wypoczynku w pobliżu malowniczych mazurskich jezior.

Niestety samo piękno nie zawsze wystarczy. Do właściwego wypoczynku potrzebne jest dobre zabezpieczenie w noclegi, jak również zorganizowanie odpowiedniej ilości punktów zaopatrzeniowych. Tymczasem region olecko-rajgrodzki jest zainwestowany w bazę noclegową bardzo słabo i z wyjątkiem schronisk turystycznych w Elku i Olecko, oraz ośrodka czasowego FWP w Szybie — brak na tym obszarze, poza możliwościami zakwaterowania prywatnego — ogólnie dostępnej bazy noclegowej.

Prezydium powiatowych rad narodowych w Elku, Goldapi i Olecko zdają sobie sprawę z konieczności właściwego zagospodarowania turystycznego tych

okolic. W ciągu ostatnich dwóch lat dokonano niemałego wysiłku, aby uatrakcyjnić nie doceniane dotąd obszary turystyczne trzech powiatów mazurskich. Pomoc w tym względzie obiecuje Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki. Chodzi przede wszystkim o rozbudowę obozowisk, campingów, stanic wodnych oraz domów turystycznych typu lekkiego.

Już obecnie istnieje w Goldapi nad pięknym jeziorem — urządzony w lwiej części czynnem społecznym — letni ośrodek campingowy na 120 osób. Z początkiem grudnia ubiegłego roku rozpoczęto również prace nad zagospodarowaniem zimowisk. Między innymi wykorzystując dogodny uytuowanie terenu przygotowywano dokumentację na budowę narciarskiej skoczni. Wzbogacając o czyny społeczne dotacje z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej — zrobiono w Goldapi tor saneczkowy.

W powiecie elkim w roku bieżącym mają powstać dwa obozowiska campingowe — jedno z nich nad jeziorem w Starych Juchach kosztem około 640 tysięcy złotych, przeznaczoną dla 200 osób, drugie na 120 osób w Malinówce. Ale to tylko początek.

Rozejrzyjmy się nieco po tym regionie. Ciągnie się on od garbu szeskiego na północy aż po Rajgród na południu. W jego obrębie znajdują się piękne Szeskie Wzgórza, liczące ponad pół tysiące hektarów, otoczone lasem Czerwonego Dworu, będącego fragmentem Puszczy Boreckiej — jezioro Łańno, połączone z nim za pośrednictwem jeziora Litygajno i rzeki Elk jezioro Leśmiady, prawie dwa razy większe od łańnojskiego, jeziora. Dalej drugi kompleks jezior większych i mniejszych powiązanych ze sobą rzekami: Lega i Elk, — z których największe to jezioro Wielkie Oleckie o powierzchni ponad 2000 hektarów (największa jego głębokość sięga 36 metrów).

Prawdziwa to kraina wód i jezior. Jest tu nieco mniej lasów, ale niewielkie powierzchnie leśne nad jeziorem elkim oraz w widłach rzek: Elku i Jęgrzni zupełnie wystarczają, aby znaleźć wiele dogodnych miejsc do biwakowania przy tym niezwykłym interesującym pasie wodnym.

Rozne bywają dzieciństwa, tak samo różne jak losy ludzi. Mały Jurek, gdy Kuratorium sprawadziło go ze wsi do Białegostoku, do Państwowego Domu Młodzieży Nr 2, często snił po nocach, że przebywa jeszcze w domu rodzinnym. Zrywał się wtedy z pościeli — krzyżąc i płacząc na przemian. Gdy przybiegał kierownik, wychowanek odurzony snem zasłaniał dłońmi twarz. Szałochem prosił, aby go nie bito. Tak — dom, do którego wracał światem nocnym, był koszmarem. Ojciec — zawadiaka za lat młodych — z biegiem czasu stał się na dno alkoholizmu. Tego pił, a kiedy pił, jeszcze bardziej tego bil — każdego, kto mu się podwinał pod rękę, nie wykluczając raczkującego synka. Zoną swoją również nauczył zagładać co dnia i co wieczór do butelki. Kiedy zasmakowała w wódce, dawała również alkohol do picia dziecku. Od pierwszego dnia pobytu w Domu Młodzieży Jurek przeważnie „Małym”. Liczy on już lat osiemnaście, choć wzrostem przypomina ośmioletniego malca. Ale Mały — Jurek nie zna na szczęście piłowni kompleksów. W Domu Młodzieży Nr 2 przy ulicy Słonimskiej przyjęto go z otwartymi ramionami. Jurek znalazł tu od razu pięćdziesięciu przyjaciół. Jakich przyjaciół w dodatku. Wiernych, oddanych, którzy samorzutnie złożyli w świetlicy pewną tajemniczą przysięgę. Mniej więcej brzmiała ona tak:

„Ja — tu następowo imię i nazwisko ślubującego — ślubuję skuć na perłowo facjatę każdego, kto ośmieli się wyśmiewać i dokuczać „naszemu” Jurkowi”.

Pierwszy raz do Technikum udał się Jurek pod opieką dwóch najwyższych i najsilniejszych wychowanków Państwowego Domu Młodzieży Nr 2. Ot, takich wyrosniętych dragali — nazwijmy ich Takiem i Jankiem. Na wstępie zażądali widzenia się z dyrektorką. „Panie dyrektorko — oświadczyli — my dwaj, to delegacja Państwowego Domu Młodzieży. Za nami, proszę sobie wyobrazić, jeszcze czterdziestu siedmiu, a i dziewczęta nasze są mocne w garści. Chcieliśmy szanowną dyrektorkę uprzedzić, że nie pozwolimy, by w szkole kłótkołów krzywdził naszego Jurka”. Tu następowo w lapidarnym skrócie wzmianka o ślubach chłopców urozmaicone powiedzonkami już znanymi — że facjata, że na perłowo.

Dyrektor stanął na wysokości zadania. Co więcej, zdaniem wychowanków Domu Młodzieży Nr 2 był po prostu... „byczy”. — „Panowie. — Oto moja ręka. Przyrzekam, że każdy, kto zacznie się wyśmiewać z waszego podopiecznego, zostanie niezwłocznie usunięty ze szkoły. Bez względu na stopień — i na zasługi swoich rodziców czy opiekunów”.

Jurek „Mały” — to działacz samorządu domowego. Dzielnie pomaga kierownikowi, panu Tadeuszowi Maliszewskiemu cementować wielką — bo prawie siedemdziesiąt osób liczącą rodzinę. Nie jest to zadanie łatwe. Każdy z wychowanków, to już zapisana karta i to zapisana często brutalnie — okrutnie, plugawo. Sześćdziesięciu czterech wychowanków posiada Młodzieżowy Dom Nr 2 w Białymstoku. Pięćdziesięciu chłopców od siedmiu lat do pełnoletności — i czternastkę dziewcząt. Ale zarówno kierownik Maliszewski, jak i wychowawczynie i wychowawcy do-

tury. Nareszcie Biblioteka ma otrzymać dwuzłoty lokal. Już został przeprowadzony remont lokalu. Widać już, że coś się zmieniło i zmienia się z dnia na dzień. Co znaczy gdy przyjdzie odpowiedni człowiek na odpowiednie stanowisko! Moja poprzedniczka była przez GRN wykorzystywana jako pomocnica poszczególnych urzędników. Bywała gońcem soltysa, posługaczką urzędnika stanu cywilnego, oraz innych pracowników opeeszających w swej pracy. Dlatego też nie ma się co dziwić, że biblioteka była zaniedbana.

Radykalna zmiana nastąpił także w tym roku w GS. Został zmieniony prezes tej placówki. Przyszedł człowiek w średnim wieku z dużą praktyką. Jednym słowem podobnego charakteru, co i sekretarz gromadzki. Człowiek ten, widać, zaczyna się interesować życiem kulturalnym środowiska. Zainteresowanie to przejawia się w formie dodatkowego finansowania świetlicy, biblioteki i szkoły z nadwyżek GS. Jest inicjatorem założenia klubu inteligencji wiejskiej, klubu kawiarzeńki w świetlicy gromadzkiej. Zakupił krzesła, stoliki, z finansu GS. Widać w tym zaniedbanym środowisku, że coś jednak się dzieje, coś się zmieniło.

Opracował M. D.

(Dokończenie na str. 11)

WIERSZE POETÓW RZESZOWSKICH

TADEUSZ PIEKŁO

Przemysł

Inwokacja do ananke W tonacji sepii

która w pejzażu jasnomrocznym mokrym
dzień piaszki wieszasz u chmur ledwie żywych
gestów rozbieżnych wszelakość wyznaczasz
i chwilań ku sobie

trawy
wiatru
pszczoły
światła jak łódzie deszczem napelnione
topisz po krawędzi smutku
blask samotny
przy czerni nieba w melodii zamieniasz
w ład symetryczny do zapamiętania

która wynurzasz smukłe kiście śniegu
z drzew szorstkiej barwy tkanej ostrym wiatrem
i wonie składasz w bukiet coraz szerszy
skłonny spalaniu w porze nieprzyjaznej
gdy bicze wody podjęte z strumieni
las rozgrzeszają z wątych liści leszczyn

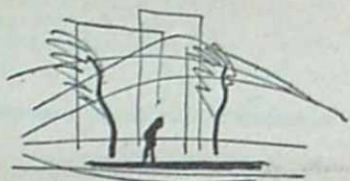
któraś pelganiem zieleni wiosennej
w cementarzu wszystkich pogrzebanych roślin
i ich pamięcią wszelką
ziemia nosi tę pamięć
z ziaren dobywa jej widok
lustrzano zmienny pod niebem otwartym
wszystkimi modlitwom umarłym i zwiędłym

któraś tragedii boleśniejszy finał
niż te dostępne naszym pięciu zmysłom

któraś miłością jest
i śmiercią
niczym

oddzielająca jasność chwil ujrzenia
od wiary ślepej pęków
prosto z osłon

pozwól mi znowu nie wiedzieć o tobie
daj mi przez chwilę na ciebie nie patrzeć



KRYSTYNA SZYMONOWICZ

Lesko

Głupia Cesia

Rośnie ta głupia Cesia w środku wsi
jak chwast
z ojca pędziwiatra
matka już trawą zarosła

Głupia Cesia ma zawsze trzy lata
choć od lat w przyjaźni żyje z motyką
a twardych jej pięć nie ugryzą
zęby kamienia czy ostu

Cesia poznała trzy żywioły: ogień, głód i wojnę
poznała też miłość za świecące grosze
i seplen o tym bezwstydnie i prosto

Dzisiaj kochają Cesię tylko krowy
a ona wleczorami ze szczytu w spuchnięte słońce
[patrzy]

i dzikim głosem przeklina i płacze
nie mogąc pojąć grozy i urody świata.

WIESŁAW KULIKOWSKI

Mielec

Moi niemi i piękni

Wrośnięci kolanami w ziemię,
Słuchają pieśni, której nie ma.
Bronią mnie tylko swym milczeniem,
które na kamień się zamienia.

Rozdają liściom moje myśli
na drodze, która jest zamknięta;
plotą najbliższe z gwiazd kołyski,
wciąż milcząc nad zieloną śmiercią.

I noszą w sobie ciężką miłość
Pod horyzontu wieczną ścianę;
schyleni nad kwiatami nisko,
w śnie tylko ze mną rozmawiają

I stroją flety swe z kamieni,
jakby im miały życie wrócić,
nie wiedząc nawet, że przy ziemi
już nie podobni są do ludzi.

Motto:
„Wsi spokojna,
[wsi wesoła]...
Jan Kochanowski

chwila
nawet bez ciszy
pełnej piotunu
gorzka

drzewa
w chmury szarzeją
wysmużone
u okna

tu przystanąć
to blisko —
wrosnąć w ziemię
i boleć

pór okrągłość
odbarwia
gaśnięcie wierz
wieczornych

JÓZEF
JANOWSKI

Krosno

Rozważania nad dymem

Trójkąt dymu
cztery razy
umarł
do potęgi
miał wrażenie
szachownicy
aż się rozstał
dogodnie
z życiem

Oczodoły z Neandertal

Rozłożone z ziemią
głownie
osypiska
zaległe w determinacji
patrzenia
na przymat
duszy młodszej
od wieków Saint'

Etienne

obozowisk Acheul
odgrzebane
w Neandertal
w hraudeau
niepojętych oczodołów

CZESŁAW
PIOTR
KONDRACIUK

Rzeszów

Obraz

Stary dom
styka się z płotem
ręce drzew
zawisły nad dachem
grupka dzieci
bawi się kotem —
czarnym w białe łatki
Cóż to
kot wcale nie ucieka
jakby z kamienia
był wykuty
dzieci mają
kamienne usta
i duże
kamienne

buty.
Na progu siedzi
kamienisty człowiek
kamienią fujarkę
trzyma w ustach...

Wysoko
niebo wisi kamienne
i wielka
kamienista pustka...

Wywiad z Kazimierzem Gieroniem
wiceprzewodniczącym Rady Okręgo-
wej ZSP w Lublinie i Adamem Witu-
skiem — sekretarzem RO, członkami
lubelskiej delegacji na V Kongres
ZSP.

V Kongres ZSP miał na celu pod-
sumowanie dotychczasowej działal-
ności ZSP i określenie nowych zadań
na najbliższe trzy lata. Wzbudził
wielkie zainteresowanie wśród społec-
zeństwa nie tylko studenckiego. Ja-
kie sprawy wysuwały się w obradach
na pierwsze miejsce?

— Przede wszystkim podniesienie
poziomu nauczania. Wiadomo, że do
1980 r. liczba absolwentów wyższych
uczelní musi osiągnąć cyfrę 800.000.
Tymczasem sytuacja wygląda nie naj-
lepiej. Przeciętnie, na 100 studentów
rozpoczynających naukę na I roku,
tylko 50 kończy studia w przewidzia-
nym terminie. Taki stan nie wpły-
wa z samego lenistwa studentów.
Przyczyn jest wiele i nieraz dość
skomplikowanych. Na Kongresie pod-
noszono kwestię, że w procesie nau-
czenia zbyt małą rolę spełnia sama
kadra nauczająca, że daje się odczu-
wać poważny brak podręczników (tu-
taj szczególnie ważne jest szerokie
rozbudowanie sieci powielarni skryp-
tów), że za mało jest miejsc przeznac-
zonych do nauki własnej.

— A materialna sytuacja studen-
tów?

— Oczywiście i to też. Obecnie sy-
tuacja ta ulega ciągle poprawie, jed-
nak daleko jej jeszcze do doskona-
łości. Dlatego sprawa warunków ma-
terialnych szła w parze ze sprawą
podnoszenia poziomu nauczania. Wraz
ze zwiększającą się liczbą studentów,
nie zawsze wzrasta ilość stypendiów
i miejsc w domach studenckich.

TADEUSZ
KUBAS

Rzeszów

Bez tytułu

mieszamy barwy
naszych spojrzeń

słów
wzruszeń
pragnień
i upojęń

tak bliscy sobie
jak dwie dale
jak twoje jutro
jutro moje

MARIAN BERKOWICZ

Stalowa Wola

Przebudzony

Przebudzony
snem o śmierci
stamtąd aż tu przybywam
w połowie otwarty
rozłamię całości

w pamięci
drzewa kładą się cieniem
i szum rzeki nie ustaje
przybliża
rozejrzane daleko

i jakby
uobecnione w streszczeniu myśli
stwierdziło
wielkim okiem skłóconych barw
do zatrzymanego czasu
we mnie
napelnionym
wonią zbóż i czerwienią sosny

WOJCIECH KAWIŃSKI

Dębica

Osaczenie

ręka nie sięgnie do tego pułapu
choć jest niski i gładki jak lustro
po ścianie splota dźwięcznie
[biała kropka]
i pęka zawias u wydętych drzwi

kąty są ostre ale dobrotliwe
sterczące w słodkich tumanach
[powietrze]

i tylko stołu wyspa osaczona
na oczach naszych wyzywa się
[kształtu]

który wymiary jak wodą opięte
linią zamyka w pokoju bez okien

PO V KONGRESIE ZSP

W chwili obecnej brak w domach
studenckich 8.000 miejsc, a do końca
Planu 5-letniego cyfra ta wzrosła
do 20.000. Sytuację rozwiązują w
pewnej mierze stypendia przyznawa-
ne przez zakłady pracy. I tutaj wy-
łonili się na Kongresie następujący pro-
blem: przy przyznawaniu stypendiów
założeniem jest „wychowanie” sobie
przez instytucję przyszłych kadr fa-
chowców. Tymczasem kontakty za-
kładu pracy ze stypendystą są słabe
albo w ogóle nie istnieją i to prze-
ważnie nie z winy studenta. Instytu-
cje wykazując najczęściej zenużenie
krótkowzroczność, traktują stypendia
jako haracz, który zmuszone są wy-
płacać nie wiadomo komu i nie wie-
dzą po co. Dlatego bardzo rzadko
praktyki studentów-stypendystów od-
bywają się w „macierzystych” insty-
tucjach, a jeszcze rzadziej studenci
piszą prace magisterskie, które — jak
było w założeniach, mogłyby wpłynąć
na rozwój produkcji danego zakładu.
Na Kongresie zwracano wreszcie uwagę
na wychowawczą rolę uczelni. Po-
stulowano, żeby asystenci i profeso-
rowie zwracali więcej uwagi na stu-
denta nie tylko jako na przyszłego
fachowca, ale także — jako na czło-
wieka i obywatela.

— Warto jeszcze wrócić do sprawy
podnoszenia poziomu nauczania. Bar-
dzo interesujące było podobno na
Kongresie wystąpienie ministra szkol-
nictwa wyższego?

Minister rozwinął jeden z wnio-
sków postawionych na Kongresie.
Mianowicie wniosek o szczególnym
faworyzowaniu studentów wyróżnia-
jących się dobrymi wynikami w nau-
ce. Mieliby oni przywilej wybierania
najlepszych stypendiów, czasów,
mogliby nawet otrzymywać nagrody
pieniężne. Natomiast absolwenci po-
siadający specjalne dyplomy uznania
mieliby ułatwione otrzymanie pracy
najbardziej im odpowiadającej.

— Kongres obradował w komisjach.
Czy działała także komisja kultury?
— Tak. Tutaj wiele uwagi poświę-
cono tzw. „małemu ruchowi kultural-
nemu”. A więc np. nie tylko wiel-
kie, „reprezentacyjne” zespoły arty-
styczne, ale jak najwięcej małych,
wydziałowych zespołków pracujących
niekoniecznie dla „szerokiego odbior-
cy”, ale głównie dla „siebie”, dla
własnego rozwoju kulturalnego.
— Czyli nie „gwiazdorstwo”, ale
„samokształcenie”?

— Właśnie. Szczególnie u nas, w
Lublinie, gdzie większość studentów
wywodzi się z prowincji, ze szkół
o niższym poziomie.

— Na Kongresie mówiono także
o włączeniu się ZSP w program Fron-
tu Jedności Narodu. Jak ta sprawa
wygląda na gruncie lubelskim?

— W ubiegłym roku lubelscy stu-
denci wybudowali w czynnie społecz-
nym ulicę Raabego, uporządkowali
zieleńce i zasadzili wiele drzewek
i krzewów wokół Miasteczka Akade-
mickiego. Do XX-lecia PRL wykona-
my na terenie Miasteczka prac-
wartości 1,5 miliona złotych. Nieza-
leżnie od tego, kontynuować będzie-
my „białe niedziele” (wyjazdy stu-
dentów Akademii Medycznej) do wsi
oddalonych od ośrodków zdrowia,
nową formą pracy będą „zielone nie-
dziele”, wyjazdy studentów WSR
z pogadankami na tematy rolnicze.

— Na razie jednak trwa sesja zi-
mowa...

— „I mrozy. Dlatego pełną parą
ruszymy dopiero w marcu. Nasza
Rada Okręgowa zamierza wtedy w
pełni realizować program, który w tej
chwili znajduje się w opracowywaniu.
Głównym jego założeniem jest, aby
podstawową komórką społeczności
studenckiej stała się tzw. „grupa
studencka”, wraz z asystentem, jej
opiekunem. W grupie omawiane są
wyniki nauki poszczególnych studen-
tów, grupa typuje kandydatów do
stypendium, spełnia dużą rolę w roz-
dzielaniu nagród i czasów, pomaga
słabszym kolegom w nauce. Ta in-
icjatywa spotkała się z dużym uznaniem
lubelskich władz partyjnych.
Program nasz nie ogranicza się zresz-
tą tylko do grup studenckich...

— „Czy można by więc zapytać...?”

— „ale resztę wyjaśnimy dopiero
na spotkaniu Rady Okręgowej ZSP
i Redakcją „Kamień”.

— Które oddędzie się wkrótce w
ramach „dyskusji „Kamień”.

M. D.

Od Węgrowa do Opatowa*

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

KSIĄŻKA Eligiusza Kozłowskiego zawiera opis wybranych bitew z powstania styczniowego. Spośród jedenastu opisanych w niej starć zbrojnych cztery rozegrane zostały na Lubelszczyźnie (Kobylanka, Chrusłina, Żyrzyn i Fajslawice), a trzy w sąsiedztwie: na Podlasiu (Węgrów) i w Sandomierszczyźnie (Lubienia i Opatów).

Autor zajmuje się wyłącznie militarną stroną powstania, książka jest analizą bitew, ich rozbiorem strategicznym i taktycznym. W czasie swoich rozważań dochodzi Kozłowski do wniosków stawiających powstańców strategów w dosyć ujemnym świetle. Brak im było przeważnie inicjatywy, przygotowania wojskowego, a co chyba najważniejsze, szybkości i pewności decyzji. Dlatego też rzadko potrafili osiągnąć realne korzyści nawet z wygranych bitew. Starcia wybrane przez autora w dużej części były zwycięskie; niestety, po każdym z nich następowała bądź to klęska, bądź też rozproszenie sił powstańczych.

I tak wyjątkowy sukces Jounga pod Nową Wsią poprzedził o kilka tylko dni rozbięcie jego oddziału pod Brdowem, zwycięska obrona Jeziorańskiego pod Kobylanką była wstępem do rozproszenia jego sił, a świetnie rozpo-

częta pod Chrusłina i Żyrzynom kampania Kruka zakończyła się klęską pod Fajslawicami. Przeprowadzona przez autora analiza ukazuje dobitnie marnotrawstwo sił i środków, marnowanie zapłału szeregowych i oficerów poprzez nieudolność, a często wręcz bezradność wyższych dowódców takich, jak Jeziorański, Kurowski czy nawet Kruk.

Na jedenaście opisanych w książce bitew wyraźna klęska zakończyły się tylko dwie (Kleczew i Fajslawice), dwie były zmarnowaniem okazji do zwycięstwa (Miechów i Opatów), natomiast reszta były to sukcesy typowo polskie, tzn. niewyżyskane, co w warunkach powstańczych równało się klęsce.

Przykłady dla przedstawienia wojskowej strony powstania nie są przez Kozłowskiego dobrane najtrafniej. Po pierwsze, są to w większości sukcesy (co prawda, jak wspominałem, zaprzepaszczone), po drugie, autor ukazał działania stosunkowo dużych sił powstańczych, przeważnie połączonych kilku jednostek regularnych lub partii. Brak w książce opisów najsłabszych chyba dla powstania styczniowego potyczek pojedynczych niewielkich partii, jakie miały miejsce jeszcze w roku 1865. Można by mieć również pretensję o pominięcie niektórych, niekiedy bardzo typowych, dowódców, jak np. Cwieka, ks. Brzóska czy Lelewela — Borelowskiego, którego wrzesniowa „kampania” nad Tanwią należy niewątpliwie do bardzo charakterystycznych powstańczych epizodów.

Mimo tych (nieistotnych zresztą i dosyć subiektywnych) zarzutów, książkę ocenić należy bardzo wysoko. Omówienie bitew jest dokładne i gruntowne; każde z nich poprzedzone jest charakterystyką działających wojsk i ich dowódców, a uzupełnione oceną bitwy i losami uczestników bezpośrednio po niej. E. Kozłowski (znany skądinąd jako autor rozpraw historycznych o te-

O „DZIECKU GWIAZDY” I INNYCH DZIECIACH

AUTORZY piszący sztuki dla dzieci i teatry je wystawiające kładą zwykle nacisk na moralizm oraz na osiągnięcie komizmu i zaangażowania emocjonalnego młodocianych widzów.

Przewaga jednego z dwóch ostatnich elementów dzieł je z grubszą na dwa rodzaje: śmiesznych i poważnych. Do ostatnich należy sztuka Marii Kossakowskiej i Janusza Galewicza: „Dziecko Gwiazdy”, oparta na motywach baśni Oscara Wilde’a, której prapremiera odbyła się w lutym w lubelskim Teatrze Lalki i Aktora.

Polscy autorzy zachowali neoromantyczny, poetycki ton oryginału i moralistyczny wydźwięk.

Baśń dramatyczna „Dziecko gwiaz-

dy” — w trzech częściach — jest przeznaczona dla dzieci starszych, nie ma w niej prawie momentów humorystycznych. Skonstruowana normalnie: w pierwszej części powstaje konflikt, w drugiej bohater dąży do wydobycia się z nieprzyjemnej sytuacji, w którą popadł, w trzeciej następuje happy endowe rozwiązanie. To wszystko rozbite jest dużą ilością barwnych epizodów. Reżyser i inscenizator Stanisław Ochmański miał trudne zadanie nadając długie i ciężkie sztuce tempo, które uczyniło ją nienużąca. Duża w tym zasługa funkcjonalnych dekoracji Zofii Gutkowskiej; dzięki nim zespół mógł sobie poradzić z ciągłą zmianą miejsc akcji i środowiska. Kostiumy były bardzo charakterystyczne.

Spektakl ma jeden bardzo ciekawy inscenizacyjny moment: pokazanie przedstawienia teatryku marionetek na dworze baśniowej królowej, a więc teatryku marionetek w teatrze lalek. Tym razem zdecydowano się na dość sztuczna sytuację — z widowni dzieci marionetki świetnie widziały, lecz biedna królowa z całym swym dworem, siedząc gdzieś na uboczu, nie tylko nie mogła nic zobaczyć, ale wydawała się wręcz niepotrzebna. Lepsze rozwiązanie podobnej sytuacji zespół pokazał w sztuce „Sambo i lew”, w której widzów na licytacji zagrali prawdziwi aktorzy. Pełne wydobyć poetyckości i dramatyczności przedstawienia — to zasługa dobrze grającego zespołu i w pewnej mierze muzyki Krzysztofa Pendereckiego.

(Dokończenie na str. 17)

matyce powstańczej i współwydawca „Pamiętnika” J. Prendowskiej, dotyczącego powstania) oparł się na licznych źródłach i opracowaniach historycznych. Pracowicie zestawiał i porównywał różnice, niekiedy sprzeczne relacje. Książka opatrzona jest znaczną ilością przypisów, wykazem wykorzystanej literatury, aneksami i indeksami. Korzystanie z niej ułatwiają szkice sytuacyjne poszczególnych bitew, a uprzyjemniają zdjęcia i ryciny.

Mają format i barwna obwoluta zdają się zapowiadać popularne opracowanie w rodzaju serii Światowida czy Niezapominajek, tymczasem zawartość, mimo że podana przystępnie, żywo i interesująco, ma wszelkie cechy poważnej pracy naukowej.

Nierówny „Fajerwerk”

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

OPERETKA Szwajcarka Paula Burkharda „Fajerwerk” cieszy się w Polsce powodzeniem. W osiem lat po napisaniu wystawiono ją w Warszawie (1958 r.), a obecnie można ją oglądać w Lublinie. W obu przedstawieniach rolę cyrkówki Iduny powierzono Beacie Artemskiej.

Rzecz przez akt pierwszy i trzeci (ostatni) dzieje się w mieszczańskim salonie, gdzie przeżywa swój konflikt

Anna, córka sparaliżowanego przemysłowca Alberta, waha się nad popełnieniem jednego z faux pas w pojęciu jej środowiska: megalomanii z synem ogrodnika albo obrania kariery cyrkowej. Ostatecznie zwyciężyła jak zwykle miłość, tym bardziej że jej orędowniczką jest wspomniana już wyżej uroczą Iduną, żoną wuja Anny, Aleksa, dyrektora Alex Circus, usiłującego, mówiąc żargonem sportowym, „skape-

rować” młody talent. Prócz tego widz czeka na ozdrowienie paralytyka Alberta, ma go wyleczyć gwałtowny wstrząs — przygotowany wybuch fajerwerku i nieoczekiwane wyczyny córunki.

To osnowa fabuły operetki — gatunku, wokół którego, jak i wokół opery, wybuchają co jakiś czas dyskusje.

Istotą opery i operetki jest mariaż sceny z estradą. Z jednej strony próba stworzenia luźnej rzeczywistości, a z drugiej widać, że to wszystko robi się dla pięknych arii, baletu i muzyki. Ta sprzeczność nie budziła zastrzeżeń w konwencjach monumentalnych i idealizujących. Konieczność unowocześnienia tematycznego tych gatunków, zejście do mieszczańskiego salonu i niżej, pokazanie szarych ludzi — sprzeczność tę zaostrzyły. Poza tym zmienił się sam odbiorca, „zepsuty” przez współczesny naturalizm czy realizm i kino, dające pełne złudzenie prawdziwości. Twórcy próbują zaradzić temu przez ograniczenie muzyki, a zwiększenie roli słowa. Nie robi tego konsekwentnie Burkhard, co powoduje zachowanie sztuczności w operetce, cechy, nad którą wielbiciele gatunku przeszli do porządku dziennego, a którą przeciwnicy co jakiś czas atakują. Dlatego na przedstawieniach operowych i operetkowych mogących zamaskować pewną anachroniczność tych widowisk wzrastają wymagania dobrej gry i reżyserii.

W I akcie położono nacisk na jak najszybsze wprowadzenie widza w peypetie postaci, nie było to takie proste, skorzystano z partii mówionych. Prócz trudności gatunkowych, utrudniały zespołowi pracę wulgaryzujące i szmirrowate dowcipy librecistów (adaptacja Słotwińskiego i Skowrońskiego) typu „to co pan wiesz, a ja rozumiem”, przy których opowiadane zwykle kawały wydają się perełkami humoru.

Dobre tempo i aktu spektakl zawdzięcza ustawieniu roli Anny (Felicja Jagodzińska) jako fertycznej panielki dynamizującej akcję. Diwa operetkowa z prawdziwego zdarzenia jest Beata Artemska (grająca, jak się rzekło, rolę cyrkówki Iduny), uroczą, dobrą aktorką i dobrą śpiewaczką. Niestety, obie panie nie miały partnerów na swoim poziomie.

Dobrze grana była większość ról charakterystycznych. Najlepsi to (aktorzy premierowi) — matka Anny (Nela Zdzieszńska), aptekarz (Jerzy Fitio), żony: kupca (Alina Burzyńska), aptekarza (Zofia Bronikowska) i rotmistrza (Krzyszyna Marynowska), oraz kucharka (Xenia Grey) i kamerdyner (Jan Fabian).

Całe towarzystwo nosiło piękne fin-de-siècle’owe kostiumy projektu Ewy Fabian, określające koloryt epoki. Razie wśród nich tylko ubranie syna ogrodnika (Jerzy Ambroziak) w

krótkie spodnie na szelkach made in 1962 i podkolanówki z pomponikami à la Hitlerjugend.

Wadą niektórych aktorów były podstawowe braki w dykcji.

W trzecim akcie zaczął się liryzm, operetka od razu nie wiadomo dlaczego straciła tempo, im bliżej końca — tym wolniej. Jakby libreciści walczyli z tworzywem — fabułą, które nakazywało przedki i nieuchronny koniec, chcieli wygrać do ostatka wszystkie epizody, np. wymuszony brudersaft, przy czym ich pomysłowość wyczerpała się w żenujący sposób. A szkoda, że Beata Artemska, tym razem jako reżyser przedstawienia, nie zdecydowała się na radykalne cięcia; albo adaptatorzy polscy na napisanie innego zakończenia.

Prawdziwa operetka „rozpętała się” w akcie drugim.

Ciasnota sceny przedstawienia do zrezygnowania z prawdziwego cyrku (jak w Niemczech) i do zastąpienia go baletem. Konieczność w rezultacie zba-wienna. Dzięki temu można powiedzieć, że spektakl udał się ludziom, a nie tresowanym zwierzętom. Cała rzecz została dobrze wpleciona w akcję. Jest to wizja Aleksa roztańczona przed pragnącą sławy Anną. Główny atut operetki — widowiskowość — którym okupuje sztuczność swojej konwencji, został wygrany zupełnie.

Odpowiednie kostiumy i świetnie dobrane ruchy stylizują członków baletu na lwy, koniki, panterę i zebra.

Migające barwy, gra świateł i ruch podporządkowany muzyce o wyraźnych wpływach jazzu tworzą piękne widowisko. Najefektniej wypadł numer z panterą i lwami, najzabawniej z zebrawą. Zarzucić by można pewne niedokładności w synchronizacji ruchów grup baletowych i częściową utratę płynności w momentach, w których balet łączył się z elementami akrobacyjnymi.

Dekorator Jerzy Torończyk nie miał dużego pola do popisu, jego zadaniem było zmieścić jak najwięcej na małej przestrzeni, z czego się wywiązał dość pomysłowo rozkładając miejsce akcji na dwa poziomy. Orkiestra mogłaby mieć nieco więcej wzełdów dla solistów o słabszym głosach — myślę o większym przyciszeniu.

Uosólniając należałoby stwierdzić, że nierówny libretto, bardzo różny poziom gry aktorów, niekonsekwentne tempo, świetne kostiumy, dobry balet o ciekawych układach i piękna muzyka unowocześniona, ze swoim przebojem „O mon papa”, złożyły się na czar-no-biały obraz spektaklu, który — obiektywnie stwierdzając — jest krokiem naprzód w podnoszeniu jakości Lubelskiej Operetki.



NAJTAŃSZE W KRAJU

Spółdzielczość Lublina z dużym zainteresowaniem przyjęła wiadomość o zrealizowaniu przez lubelski „Miestoprojekt” planów osiedla mieszkaniowego na Tatarach, które według cen kosztorysowych ma być najtańsze w kraju.

Redakcja „Kamery” uzyskała szereg informacji dotyczących projektu od kierownika pracowni „Miestoprojektu” inż. Wiesława Kwiatkowskiego i głównego konstruktora inż. Andrzeja Jan-kowskiego. Rozmowa odbyła się w biurze przedsiębiorstwa.

PYTANIE: Zespół architektów, urbanistów i konstruktorów waszego przedsiębiorstwa opracował kompleks budynków na osiedlu Tatarzy; osiedle to — obliczone na ok. 20 tysięcy ludzi — ma być najtańsze w kraju. Chcielibyśmy się dowiedzieć, komu to zadzięczamy?

ODPOWIEDZ: Przede wszystkim architektom i urbanistom pod kierownictwem dr inż. Jerzego Androsiuka i inż. Makowieckiego z Warszawy, którzy zaprojektowali rozwiązanie architektoniczne i urbanistyczne osiedla. Przy realizacji projektu współpracowała nasza pracownia.

P: Czołową zaletą projektu jest jego ekonomiczność. Jakie warunki musiały być spełnione, aby to uzyskać?

O: Taniłość projektu osiągnięto przez zastosowanie elementów prefabrykowanych, które będą produkowane w bazie na Tatarach. Budynki o konstrukcji wielokopertowej są znacznie tańsze od wznoszonych systemem tradycyjnym, a koszt przeciętnego mieszkania nie powinien przekroczyć 8.400 zł. Trzeba jednak przy tym pamiętać, że w tej sumie nie mieści się koszt uzbrojenia terenu.

Drugim czynnikiem, który miał wpływ na wysokość wspomnianej sumy, jest funkcjonalność projektu, tzn. podział budynków na mieszkania o najniższej możliwej powierzchni użytkowej, co nie znaczy, że mieszkania te będą ciasne. Sądymy, że przyszli mieszkańcy będą z nich zadowoleni.

P: Jak wynika z leżących przed nami planów, w skład osiedla wchodzi kilka typów budynków, co napawa nadzieją, że unikniemy monotonii, tak często spotykanej w tego typu osiedlach.

O: Są czynniki, dzięki którym osiedle będzie żywym, niemonotonnym, organicznym. Zespół dr inż. Androsiuka i inż. Makowskiego zaprojektował kilka powtarzalnych typów, w tym punktowce, o różnych rozwiązaniach, jak zalamanie budynków, przesłony, odmiennie opracowanie elewacji (balkony i loggie). Pokrycie ścian kolorowymi tynkami też przyczyni się do urozmaicenia terenu osiedla. Można dodać, że poszczególne budynki będą posiadały od 3 do 5 kondygnacji, a punktowce — do 11.

P: Wszystkie te plany mówią o imponującym rozmiarom założeniu. Czytelniczko „Kamery” i społeczeństwo naszego miasta zainteresuje na pewno jak długo były one opracowywane.

O: W latach pięćdziesiątych na terenie dzielnicy Tatarzy miało powstać osiedle przyfabryczne FSC. Efektem tego założenia jest sektor A, którego jeden z budynków oddano niedawno do eksploatacji. Projekt zabudowy sektorów B i C zaczęto opracowywać w roku 1961, biorąc więc pod uwagę powstałą tymczasem zmianę normatywów, można powiedzieć, że prace nad projektem trwały z przerwami cztery lata. Całość zabudowy zostanie oddana do użytku około roku 1968; właścicielem jej będzie miasto.

P: Panowie jako konstruktorzy są najbardziej kompetentni w udzieleniu nam informacji na temat konstrukcji budynków; czy zastosowano np. jakieś innowacje techniczne?

O: System konstrukcji wielkopłytowej z elementów prefabrykowanych po raz pierwszy zastosowano w kraju na budowach Warszawy, na Woli i na BCM przy ulicy Kasprzaka. Projekt nasz przewiduje wewnętrzne ściany z betonu żwirowego, a stropy żelbetowe z owalnymi otworami i to ostatnie można by nazwać pewną innowacją, ponieważ dotychczasowe próby krajowe kończyły się niepowodzeniem. Schody prefabrykowane wypełnią wnętrza klatek schodowych, a piwnice z wylanego betonu utworzą rodzaj trwałego fundamentu.

P: A jak przedstawia się sprawa sieci handlowej?

O: Pomyślano i o tym. Wzdłuż ulicy Dworcowej, na skraju osiedla usytuowano pieszy pasaż handlowy, którego placówki powinny całkowicie zaspokoić potrzeby mieszkańców.

P: Na zakończenie chciałoby się usłyszeć zdanie panów o dyskusji na temat kryzysu współczesnej architektury dyskusji rozpoczętej w grudniu ub. roku z okazji Regionalnego Przeglądu Projektów Warszawy i województwa warszawskiego. Niepokój nurtujący większość czołowych architektów Jacek Nowicki sprowadził do jednego i zasadniczego pytania: czy biorąc pod uwagę wszystkie czynniki ograniczające projektantów, a wypływające z ekonomiki i inności postaw zawodowych, nie można jednak stworzyć wielkich koncepcji architektonicznych, będących funkcją „jednej, generalizującej myśli”?

O: Ze względu na to, że jesteśmy konstruktorami, a nie architektami czy urbanistami, nie możemy dać odpowiedzi autorytatywnej. Faktem jest, że normatywy, ograniczenie powierzchni mieszkań i typizacja stolarki, w dużym stopniu determinują inicjatywę architekta, urbanisty i konstruktora. Przypuszczamy jednak, że są to zarządzenia przemysłowe i konieczne, a problem obciążenia pracy poszczególnych grup zawodowych „jedną, generalizującą myślą” jest godny uwagi. W tym miejscu chcemy podkreślić stosunkowo wysoki standard naszego budownictwa, równorzędny wysokości standardowi realizacji rumuńskich.

Rozmowę przeprowadził I. K.

NAŚLADOWNICTWO WSKAZANE

(Dokończenie ze str. 1)

wyklady objęły historię sztuki do poziomu włączenie.

Pierwszą linią upowszechniania stanowią jednak prace z młodzieżą szkolną. Jedną z metod nawiązywania kontaktu jest organizowanie w szkołach wystaw dydaktyczno-problemowych, złożonych z wybranych 40-50 reprodukcji malarstwa światowego, wystaw, po których oprowadzają historycy sztuki lub przeszkoleni nauczyciele. Do tej pory miały miejsce cztery wystawy: „Impresjonizm”, „U źródeł sztuki nowoczesnej”, „Picasso”, „Co to jest grafika”. Po zwiedzeniu wystawy uczniowie piszą recenzje i okazuje się, że malarstwo nowoczesne jest przez nich rozumiane, ba — recenzje, niejednokrotnie świetnie zredagowane, wskazują na zapotrzebowanie na taką właśnie sztukę! Autorzy najlepszych bywają nagradzani.

Obok tej formy popularyzacji sztuki, Wydział pomaga uczniom w edukacji „historyczno-plastycznej” poprzez podawanie bibliografii.

Doskonałe rezultaty przyniosły założone w październiku ub. roku Szkolne Koła Miłośników Sztuki, jednak zespół trudności, m. in. ze strony niektórych dyrekcji szkół, zmusił Wydział do szukania innej formy tej organizacji, co doprowadziło do utworzenia Międzyszkolnego Koła Miłośników Sztuki przy

„Zachęcie”, posiadającego samorząd wybrany przez uczniów. Kolo przy dyskretniej pomocy pracowników Wydziału ustala program działania, organizuje konkursy. Te ostatnie są ciekawym przykładem propagowania sztuki i z tego względu godne są przytoczenia. Konkurs „Poznaj co to było?” polega na odgadywaniu tytułu i autora obrazu przedstawionego przy pomocy przeźroczki. Ile przy tym radości i satysfakcji, ile przy tym nauki!

Drugi konkurs — to rysowanie na czas, według podanego tematu. Obydwa konkursy odbywają się w połączeniu z imprezą muzyczną, a ich zwycięzcy otrzymują nagrody — farby, pędzle czy też reprodukcje.

Wśród wielu innych form pracy kolo, należy wymienić konkurs na przewodnika po wystawie, zbieranie kolekcji tanich, gazetowych reprodukcji oraz wycieczki na wystawy (m. in. do „Krzywego Kola”).

Niezwykle efekty przyniosły spotkania młodzieży z plastykami. Tchórzewski i Erna-Rosenstein musieli się dobrze „napracować”, nim zdołali zaspokoić ciekawość młodzieży, a Kopeczyński był wyraźnie wzruszony przyjmując wiązankę kwiatów.

Te wszystkie formy upowszechniania sztuki wypracowane w „Zachęcie” przetrucane są następnie na poszczególne szkoły. Rezultaty aż nadto wi-



Z WYSTAW RZESZOWSKICH

Wystawa prac Zuzanny i Alfreda Kudów wywołala duże zainteresowanie w rzeszowskim środowisku, spowodowała nawet dyskusje na łamach prasy rzeszowskiej. Recenzenci rozniili się w interpretacji dzieł tej pary utalentowanych malarzy, spierali się o nomenklaturę określającą te, czy inne zjawiska w ich sztuce, wszyscy jednak wyrażali się o tej ekspozycji pozytywnie, niekiedy entuzjastycznie. Pozwól sobie tu zacytować zdanie Wiesława Rusteckiego, którego wypowiedzi osobiscie bardzo cenię... „Kud udowodnił, że jest malarzem utalentowanym i kontrowersyjnym. Jego przyszłość jest nadzieją nie tylko Rzeszowa, w to wierzę”.

Istotnie Zuzanna i Alfred Kudowie zaprezentowali twórczość wartościową, interesującą i oryginalną. Nie wiem, w jaki sposób rozprawi się z nimi przyszłość, ile spraw prawdziwych i zmyślonych będzie im przypisanych, na podstawie jakich stosunków liczbowych będzie oceniana wartość ich dzieł. Dla mnie sztuka Zuzanny i Alfreda Kudów jest cenna, ponieważ jest zjawiskiem żywym, nasyconym przeżyciem artystycznym wysokiej rangi, emanującym ogromną skalę oddziaływania.

To artystyczne małżeństwo tworzy wierne swej „innosci”, nie zapożyczając od siebie nic, nie nawiązując się wzajemnie, aczkolwiek nie sposób nie dostrzec jakiejś jednolitej atmosfery, jakiejś ogromnej bliskości w ich postawach twórczych, w maksymalnym dążeniu do uzyskania zgodności środków formalnych z zamierzeniem treściowym. Wspólna jest im pasja poszukiwacza, choć u obojga przebiega innymi drogami.

Zuzanna odnajduje siebie w rytmach spokojnych i radosnych odkryć, rozmakowana w finezji formy i bogactwie naprawdę pięknego koloru, o którym można by pisać poematy. Zuzanna syci się urokiem świata widzianego, przekładając go na własny język poetyckich skrótów i aluzji. Jej niezwykła wrzliwość znajduje odpowiednik w stale rosnącym natężeniu przeżycia kolorystycznego.

doczne. Oto szkoła 1000-lecia na Elektoralnej wystawia oryginalne dzieła artystów współczesnych (rzeźba Zbrożyny i innych) oraz przygotowuje wystawę prac Musiałowicza, które sami wybrali.

Jedna ze szkół przygotowuje albumy wyciętych z czasopism reprodukcji, które to albumy będzie można obejrzeć na specjalnej wystawie.

Pożyczano do współpracy organizację harcerską (pomoc techniczna przy organizowaniu wystaw reprodukcji), a rozgłośnia harcerska oddala na usługi Wydziału swoje możliwości propagandowe. Byłem obecny na dyskusji przed mikrofonem w salach „Zachęty” z okazji wystawy sztuki użytkowej zakończonej cykl „Dzieło Plastyczne XV-lecia PRL”. Dyskusja toczyła się w grupie kilkunastu uczniów, przedstawicieli szkół licealnych Warszawy i obfitowała w zaskakujące przemyslane wypowiedzi, a jej konsekwencje propagandowe są chyba oczywiste.

W przyszłości Wydział zamierza rozwinąć działalność na terenie zakładów pracy, hoteli robotniczych i kontynuować pracę w wojsku!

Kudowa operuje bogactwem plastycznych ujęć. Potrafi wyrażać w malarstwie wizje przestrzenne i płaskocynione, formy realistyczne i uabstrakcyjnione. Czerpiąc inspirację z natury kładzie szczególny nacisk na wyrażenie doznań własnych. W ostatnich pracach wzbogaca fakturę powierzchni płótna, używając prócz farby — kleju, gipsu, sznurka i włóczki. Powstają ciekawe, pełne wdzięku i świeżości kompozycje.

Malarstwo Alfreda Kuda nosi piętno buntu i zmagania, piętno dramatycznego dochodzenia do afirmacji arcywzrostu spraw zycia. Jest nasycone wewnętrzną treścią, tkwi mocno w narosłych problemach naszego czasu — jest w istocie swego humanistyczne. Płaszczyzna płótna wydaje się dlań nieograniczona dla wypowiedziania jego potężnych wizji malarzkich, choć w sensie formalnym jest zespołem zanikającym, doskonale wyważonym. Komponuje ją z niezwykłą trafnością nadając jej swiste piękno niezaprzeczalnych wartości malarzkich.

Ten młody, skupiony malarz jest w swej twórczości sobą, każda z form jego wypowiedzi jest malarstwem dużego wymiaru — nosi cechy prawdy i autentyczności. Kud abstrakcjonista i Kud nadrealista jest równie szczerzy i prawdziwy. W magicznym reżisuje środków plastycznych ukazuje przebogaty świat ludzkich przeżyć. „Kud sprawia wrażenie, jakby na nowo odkrywał słowniki nadrealistów” — powtarzam za Wiesławem Rusteckim.

Surrealistyczne obrazy Kuda urzekły mnie — nie sposób oprzeć się ich przejmującym ujęciom przestrzennym, ich szczególnej atmosferze, gdzie każdy plastyczny znak urasta do rozmiarów magicznego zaklęcia najprawdziwszej poezji. Cykl obrazów o charakterze abstrakcyjnym nosi piętno silnej ekspresji, gdzie kolor i forma same w sobie służą do wyrażania zagęszczonej treści, uciwyczenia idei poprzez zewnętrzna powłokę materii.

W malarstwie Alfreda Kuda wszystkie zespoły formalne wyrażają określone treści uczuciowe i intelektualne w sposób sugestywny, tkwi w nich niespożyta pasja odkrywczości, siła odnowy.

Renata Niemirska-Pisarek

Poinformowano mnie, że dotychczas żadna z lubelskich instytucji, dla których sprawa upowszechniania sztuki powinna być szczególnie bliska, żadna z tych instytucji nie zainteresowała się działalnością wspomnianego Wydziału, pomimo że proponuje on pomoc np. w opracowywaniu scenariusza wystaw dydaktyczno-problemowych. Być może wieść o tym nie dotarła do Lublina. Dotarła natomiast do Białegostoku, który niedawno poprosił o scenariusz wystawy.

Dużo mamy szkół w Lublinie, wiele instytucji związanych ze sztuką, ale czegoś brakuje. Nie ma inicjatywy i DZIAŁANIA! Nie ma sensu zwolnować nowego sejmiku kultury, wystarczy żeby jedna z wspomnianych instytucji skontaktowała się z inną, żeby poproszono Warszawę o wskazówki organizacyjne. W końcu chodzi o działanie wynikające z rzeczywistego zainteresowania wychowaniem estetycznym młodzieży, o danie także młodzieży nowej emocji, różnej od „doznań” kawiarniano-prywatnych!

Ireneusz Jan Kamiński

Potrzeba przywilejów

(Dokończenie ze str. 7)

Walory turystyczne północnych powiatów mazurskich mogą być eksploatowane zarówno w lecie jak i w zimie. Już praktyka tegorocznej zimy pokazuje, jak kilka niewielkich stonkowo, zrealizowanych głównie sumptem społecznym inwestycji — przyczynić się może do ożywienia regionu, jak wiele zrobiono w zakresie rozwoju sportu zimowych — narciarstwa, łyżwiarstwa, saneczkarstwa. Do przydatków rad narodowych 3 powiatów napływa coraz więcej zgłoszeń z projektami Białostoczczyzny, które występują z projektami lokalizacji i budowy zakładów ośrodków wczasowo-wypoczynkowych.

Gospodarze powiatu Elk już pod koniec ubiegłego roku mieli w szkołach sprzęt noclegowy, który może służyć turystom zarówno w lecie, jak i w zimie. Sprawy noclegów letnich i punktowo-zaopatrzenia omawiane są na bieżąco nie tylko na posiedzeniach przydatków powiatowych rad narodowych czy zarządów powiatowych Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, ale stanowią temat wielu sesji gromadzkich rad narodowych.

Są jednak i pewne kłopoty nie zawinione przez gospodarzy powiatów. I tak np. pracownia urbanistyczna w Elku opracowała projekty nowoczesnych doskonałych campingów. Jednak Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki nie dał zezwolenia na organizację w powiatach mazurskich campingów pierwszej kategorii, po-

mpingów kategorii drugiej. Nie wydaje się to słuszne. Fakt, że piękne tereny mazurskie nie są w pełni turystycznie zagospodarowane, tak jak np. region suwalsko-augustowski, jest chyba argumentem na to, że trzeba tu organizować od samych podstaw bazę wypoczynkową pierwszej jakości. To jest ten element, który łącznie z urodą regionu przyciąga turystów. Przyjeżdżają oni głównie z Warszawy, Lublina i ze Śląska. Tutaj nad pięknymi mazurskimi jeziorami chcą odpocząć w odpowiednich warunkach. Dlatego też wielu działaczy z Elku, Olecka i Goldapi stanowczo domaga się przyznania terenom powiatów mazurskich wszelkich przywilejów regionu turystycznego.

O ile mi wiadomo, obszary pojezierne województwa olsztyńskiego przywileje takie otrzymały. A przecież w powiatach Elk, Goldap i Olecko, jest nie mniej pięknie niż w Giżycku, Mikolajkach czy Rucianem. Kto wie, czy walory turystyczne trzech powiatów już teraz nawet nie stanowią atrakcji dla turystyki międzynarodowej, zwłaszcza że mogą być wykorzystane zarówno latem, jak i zimą.

Okazuje się, że linie kolejowe, o których budowie rozważali królewscy deputowani magistracy, mogą służyć nie tylko wyłącznie celom handlowym. Zasięg obustronnego przywozu i wywozu — jak powiadali w roku 1867 — może daleko przekroczyć przewidywania.

Nie wiem, czy mieli wówczas na myśli eksport turystyki i import turystów. Ale co do przekraczania przewidywań — to jak dotąd wszystko się sprawdza.

Krzysztof Wójtowicz

SPOTKANIA AUTORSKIE

O SZCZĘŚLIWA skleroza, która za lat, hm, kilkadziesiąt zatrzasz różnicę między fantazją a rzeczywistym igraszem snutym na użytek młodszych pokoleń, chcących wiedzieć na temat: jak to było w Lublinie okresu remontu Bramy Krakowieckiej, wysiłków „Czarta” oraz ustabilizowanego braku w wojewódzkiej metropolii przyzwyczajonej sali widowiskowej...

Cóż to będziemy wówczas opowiadać, bracia autorzy dzisiejszych pojedynczych debiutanckich tomików wydawanych w nakładzie sztuk 500 (słownie: pięćset) „staraniem” macierzystego naszego Wydawnictwa?

O nareczach róż i tulipanów... O wotaniach „autor, autor!”... o listach pełnych uwielbienia i ocywicie o liczących zaproszeniach na spotkania, wieczory autorskie po domach kultury, świetlicach, klubach.

„Pamiętam — będę opowiadać lagodna i srebrnowłosa — jak na jednym z takich spotkań z młodzieżą, siedzący w pierwszym rzędzie krzesel chłopak recytował półgłosem wraz ze mną (z pamięcią!) czytane przeze mnie moje wiersze”.

„Pamiętam — opowiem — jak na ulicy ojciec przedstawił mi swego dwięcioletniego syna, przykucując mu zapamiętała na zawsze twarz ulubionej autorki ulubionych wierszy, a zwłaszcza tego o... pasie cnoty”.

Takie oto rzeczy będziemy relacjonować, przyjaciele i towarzysze. A słuchacze uwierzą i będą wzruszeni... Chyba że... Chyba że sam diabeł ujawni jak to było na przykład w klubie-świetlicy jednego z większych w województwie zakładów produkcyjnych. A chichoczący złośliwie diabeł mógłby opowiedzieć tak:

Oto pojawia się zaproszony autor. Na powitanie wybiega zaferowana kierowniczka przyzakładowego DK. „Witamy, witamy!” „Czekamy z niecierpliwością!”.

Teraz autor siedzi w zacisznym gabinecie. Kierowniczka wybiega co chwila na salę, sprawdzać frekwencję. Po pół godzinie oznajmia, że już właściwie można zaczynać.

Wkracza autor do sali i widzi zwieszające się z sufitu bibułkowe festony, widzi kilkadziesiąt zebranych osób wystrójonych w czarne garnitury, białe koszule oraz w głęboko wydekoltowane suknie i cienkie rękawiczki do łokcia. Jeszcze w ostatniej chwili kierowniczka upewnia się szeptem: „Przepraszam, a jak... nazwisko?” Czyje? No, autora... Teraz dokonuje prezentacji, przekraczając zresztą to świeżo poznane nazwisko.

spotkania mieli działoście tej młodzieży, gdy jeszcze przed uwolnieniem musieli się „na praskie” i to w dodatku w niedzielę!

Autorowi robi się z lekką nieswoją. Teraz dopiero dostrzega potykającą w kącie perkusję, jakąś basetę i w ogóle wszystko, co potrzebne do przyswojenia zabawy karnawałowej, pomyslanej jako główny wątek dzisiejszego „spotkania z naszym miłym gościem”.

Za diabliskim podstępem pojawia się w pamięci jakaś zimowa, mroźna i wielce zaśnieżona sceneria. W nieszczelnej „Warszawie” ziębnięty autor — gość zaproszony z innego województwa. Jedzie na umówione spotkanie w niedawno otworzonym Powiatowym Domu Kultury. Strasznie się cieszy. Powiada, że dawno już marzył, żeby właśnie tu w powiecie...

Diabeł pęka ze złośliwej uciechy: hi, hi, hi... „Staruszek portier” nie ma w sobie nic z diabła. Smutno stwierdza, że nie wie... I pan kierownik chyba nie wiedział, bo... pojechał właśnie do Lublina. Ale może panna Marysia...

Panna Marysia może tylko znów zdziwić się serdecznie, zakrzępnąć się wokół kawy, żeby nią i dobrą przeproszącym słowem złagodzić obopólną przykrość. Nie wspominaj źle, Henryku, w swuolnych latach Lubelszczyzny. Dobrzy tu ludzie i gościnni. Może za to odpuszczony im będzie m. in. grzech bezholowia.

A w jednej z placówek kulturalnych dużego zakładu tuż pod Lublinem też miał się odbyć wieczór autorski. Nawet się zresztą odbył.

Przyjeżdża autor, prosi go na salę. Zimno, ciemno. W krzesłach coś około 12 osób jakiejś takiej zaspionej młodzieży.

Mówi kierownik, że ma zaszczyt powitać a teraz pójdzie robić jakieś bardzo pilne rachunki.

Rozmawia więc sobie autor z oną młodzieżą na sali. Trochę o zlej pogodzie, trochę o tym co w szkole. O rozrywkach niewiele, bo ich tu nie masz podobno. Nietrudno uwierzyć.

Wreszcie próbuje czytać co tam przywiózł ze sobą, czymś chatą bogata. „Zrywa się” kilka oklasków (pewnie od tych co najbardziej w ręce pomarzi). Wszyscy rozchodzą się serdecznie sobie nawzajem, lecz smutni bezbrzeżnie. Tylko nieustraszoną zimnem, ciemnościami i stypową aurą kierownik jest rad niezmiernie. Widocznie wszystko mu się świetnie zgadza w rachunkach i planach.

Za lat trzydzieści zostaną we wspomnieniach tylko goździki i tulipany. Pałające przyżyciem twarze słuchaczy. Kto wie, może pamięć potroi wówczas nawet honoraria... O szczęśliwa starość!

Zoila z Wólki

„O DZIECKU GWIAZDY” I INNYCH DZIECIACH

(Dokończenie ze str. 9)

Warto, by spektakl obejrzały szersze kręgi młodzieży również ze względu na walory poznawcze i dydaktyczne.

Teatr Lalki i Aktora ulokowany skromnie na skraju Starego Miasta, daje coraz więcej dobrych spektakli. Liczba widzów jednak nie wzrasta. Teatr na próżno wysłał do Kuratorium starannie opracowane konspekty sztuk. Za tym idzie obojętność kierownictwa szkół. W rezultacie na przedstawieniach w siedzibie widowńia jest zwykle wypełniona zaledwie w 50 proc. Natomiast gdy zespół wybierze się do szkoły, w sali gimnastycznej jest pełno, mali widzowie siedzą na drabinkach gimnastycznych. Nie każde przedstawienie da się przewieźć, poza tym warunki percepcji są okropne i dzieci nie wyciągają takich korzyści ze spektaklu, jakie miałyby po obejrzeniu go na właściwej scenie. Nie jest dobrze, gdy szkoła ogranicza się do nauczania, nie troszcząc się o wychowanie kulturalne młodzieży. Cała sprawa ma również aspekt środowiskowy. Na przedstawieniach bywają przeważnie dzieci ze sfer inteligentnych, rzadkimi natomiast widzami są dzieci z liczniejszych przecież rodzin robotniczych. W taki sposób powstaje zwykle upośledzenie kulturalne pewnych środowisk. W państwie socjalistycznym odpowiedzialnie władze powinny temu zapobiec.

Jeżeli teatr dla dzieci nie będzie miał odpowiedniej liczby widzów, trudno oczekiwać, aby w przyszłości dobra, trudna w odbiorze sztuka przez wielkie S cieszyła się popularnością. Dzieci nie odpowiadają za swój rozwój, decydują o tym dorośli, którzy powinni się starać, aby parafraza porzekadła: „Do czego się Jaś nie przyzwyczai, tego Jan nie będzie oglądać”, nie znalazła w tym wypadku zastosowania.

T. K. G.

KRONIKA KULTURALNA 4 województw

BIAŁYSTOK

Zo SZKÓŁ ZDROWIA na wsi zorganizował ostatnio Związek Młodzieży Wiejskiej przy dużej pomocy studentów Akademii Medycznej. Uczy się tam higieny osobistej, zapobiegania chorobom społecznym, zwalczania szkodliwych nalogów itp.

JUZ 4 lata LEZY w biurku dokumentacja na budowę kina w Dąbrowie. Ale budować kina nie można, bo w dokumentacji są braki, a poprawić je może tylko autor, autor zaś — warszawska spółdzielnia — już nie istnieje. Nie istnieje także 100 tysięcy złotych, które zapłacono za wybrakowaną dokumentację.

Nowe książki lubelskie

W styczniu i lutym br. Wydawnictwo Lubelskie oddało do rąk czytelników dalszych 7 książek o objętości ok. 50 arkuszy wydawniczych i 55 ark. drukarskich, w nakładzie 54.750 egzemplarzy o łącznej wartości 775.000 zł. Z książek tych dwie poświęcone są Majdankowi, dwie — to pamiętniki z okresu XX-lecia międzywojennego, dwie — pozycje o charakterze historycznym i jeden tomik poetycki. Oto ich przegląd:

Jerzy Putrament: *Fabryka śmierci*, s. 30, 2 nb. Nakład 20.000 egz. Cena 8 zł. Ta niewielka książeczka przynosi zbiór 8 reportaży („Kapusta”, „Palone dzieci”, „Georg Wolf”, „Okienko, krata i żarówka”, „Piekuo a Majdank”, „Największy mord”, „Buty” i „Niemcy na Majdanku”), pisanych w dniach 5-6 sierpnia 1944 r. i drukowanych na lamach ówczesnej „Rzeczypospolitej”. Jak wskazuje data, była to jedna z pierwszych publikacji poświęconych obozowi zagłady w Lublinie i w tym właśnie tkwi jej wyjątkowa wartość. Reportaże Putramenta napisane są piękny językiem, a spiswane na gorąco, w kilkadziesiąt godzin po przybyciu ich autora z Moskwy, w niezwykle sugestywny sposób utrwalały obraz Majdanka z pierwszych dni po wyzwoleniu. Tomik jest opatrzone postawieniem Romana Rosiaka.

Listy z Majdanka. Wstęp i opracowanie Zofia Wójcikowska. S. 54, 2 nb plus ilustracje. Nakład 10.000 egz. Cena 10 zł. Na tomik składa się ponad 40 grpsów, pisanych przez 10 więźniów Majdanka: Stefanię Perzanowską, Helenę Protasowiczką, Mieczysława (nazwiska nie ustalono), Pawła Dąbka, Józefa Wójcika, Jana Nowaka, Edmunda Horwata, Witolda Kolodzie, Jerzego Bargielskiego i Jerzego Kłossowskiego. Książka ta stanowi niezwykle cenny dokument, informujący o warunkach życia obozowego, męczennictwie więźniów i ich próbach samoobrony i oporu.

Konrad Bielski: *Most nad czasem*. S. 266, 2 nb. Nakład 10.000 egz. Cena 22 zł. Jest to obszerny tom wspomnień znanego pisarza i działacza lubelskie-

go, który czytelnicy mogli poznać z odcińków drukowanych na lamach „Kamery”. Książka ta przenosi nas w czasy XX-lecia międzywojennego, konkretnie w lubelskie lata 1919-1939. Stanowi ona prawdziwą kopalnię materiału do dzieł naszego miasta w tym okresie, szczególnie zaś życia kulturalnego. Spotykamy tu dziesiątki nazwisk znanych pisarzy, artystów, dziennikarzy, działaczy, wydawców, prawników, naukowców itd. Można powiedzieć, że jest to pewnego rodzaju przewodnik czy też „baedeker lubelski”.

Wacław Mrozowski: *Cyganeria*. S. 252, 4 nb. Nakład 10.000 egz. Cena 25 zł. Pamiętnik poety przebywającego obecnie w Łodzi ukazuje jego młodość, która upłynęła w Chełmie, następnie zaś dzieje „wspólnego pokoju” przy ul. Dobrej 9 w Warszawie którego mieszkańcami byli: Henryk Domański, Józef Lobo-dowski, Bronisław Ludwik Michalski, Wacław Mrozowski i Stanisław Pięta, zaś wśród licznych gości wyróżnić należy Józefa Czechowicza. „Cyganeria” jest literacką kroniką życia młodych poetów lubelskich, którzy w latach 1934-35 mieszkali na Powiślu w Warszawie. Przynosi ona dużo cennego materiału do biografii Czechowicza, Michalskiego i innych poetów. Dużo też miejsca poświęca autor głośnej sprawie „Plomyka”. Książka pozwala poznać życie i obyczaje wielu pisarzy, jak również atmosferę ostatnich lat przed wybuchem II wojny światowej. Wartość jej podnosi duża ilość dokumentalnych zdjęć (33), fotokopii rękopisów i indeks. Książka opatrzone jest postawieniem Romana Rosiaka.

Zigniew Jerzy Hirszt: *Z dziejów PPR, GL i AL w powiecie kraśnickim (1942-1944)*. Biblioteka Socjalno-Polityczna. Tom XII. S. 63 i nb. Nakład 1000 egz. Cena 4 zł. Kolejny, dwunasty już tomik Biblioteki Socjalno-Politycznej przynosi — podobnie jak dwie poprzednie pozycje: tom X — E. Mysłowski: „Z dziejów PPR GL i AL w powiecie puławskim (1942-1944)” oraz tom XI — WL Kozdra: „Z dziejów PPR na Lubelszczyźnie” — nowe materiały do historii PPR na terenie naszego województwa. Obiektem zainteresowania autora stał się powiat kraśnicki odgrywający w okresie okupacji poważną rolę w ruchu oporu. Tu bowiem powstała jedna z pierwszych organizacji komunistycznych — Robotniczo-

(Dokończenie na str. 12)



Konkurs literacki

Rozgłoszania Polskiego Radia, Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych, Wydział Kultury Prezydium WRN w Białymstoku oraz dwutygodnik „Kamena”

ogłaszają

konkurs na opowiadanie, opowieść i reportaże literacki.

W konkursie mogą brać udział wszyscy mieszkańcy województwa białostockiego. Tematyka utworów konkursowych nie jest ograniczona. Najchętniej widziane będą jednak te, które dotyczyć będą problemów i zagadnień Ziemi Białostockiej.

Prace oryginalne, dotychczas nie publikowane winny być nadsyłane w trzech egzemplarzach maszynopisu i zaopatrzone godłem. W załączonej opatrzonej godłem, zamkniętej kopercie należy umieścić kartkę z imieniem i nazwiskiem, a także adresem autora.

Utwory konkursowe należy wysłać pod adresem Rozgłoszania Polskiego Radia w Białymstoku — ul. Akademicka 26, z zaznaczeniem na kopercie „Konkurs literacki”. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 15.IV.1963 r. Rozstrzygnięcie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi do dnia 15.V. 1963 r.

W skład jury wchodzić będą przedstawiciele Związku Literatów Polskich, Radia, Wydziału Kultury PWRN w Białymstoku i Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych.

Za najlepsze prace przewidziane są następujące nagrody:

I — 6.000.— zł
dwie II po — 4.000.— zł
trzy III po — 2.000.— zł
cztery wyróżnienie po — 1.000.— zł
Organizatorzy konkursu zastrzegają dla jury prawo innego podziału nagród.

PRZEGLĄD PRASY

Ostatni tydzień zwiastuje zawieszanie sporu o polskie grzechy. Nowa Kultura w artykule L. Wyszynskiego („Powtórki nie będzie”) i w komentarzu redakcyjnym wraca do tej sprawy.

„Ameryka na cenzurowanym” — to niezwykle ciekawa publikacja Przeglądu Kulturalnego. Jest to bardzo obszerny omówienie (pióra M. Wierzyńskiego) dyskusji poświęconej Stanom Zjednoczonym, zorganizowanej z inicjatywą pisma, w której uczestniczyli m. in. tacy znawcy amerykańskich spraw, jak Józef Chłasiński, Stanisław Ehrlich, Jan Strzelecki, Jan Szczępański i inni. Redakcja prezentuje nowy typ sprawozdania z rozmów: osobista relacja przedstawiciela redakcji w miejsce pełnych wypowiedzi uczestników. Nie sposób streszczać bardzo rozległego materiału, więc dla smaku parę cytatów.

K r a j: „Pędziesiąt jeden państw nie licząc Wysp Hawajskich. Nowa Anglia i Kalifornia, to kraje różne nie tylko gospodarczo, również kultury ich wyrosły na zupełnie innych pożywkach. Odrębność w rodzaju tych, które różnią Śląsk od Białostocczyzny, znaleźć można w ramach jednego stanu. Aby obraz jeszcze skomplikować dodajmy, że Amerykanin twierdzi, iż Nowy Jork to nie Ameryka, tylko przyczółek europejski i że prawdziwe Stany Zjednoczone zaczynają się na zachód od Missisipi”.

S p o ż y w a n i e — akt patriotyczny: „Poziom konsumpcji określa pozycję społeczną i na odwrót — określenie spożycie przywiązane jest ściśle do miejsca w hierarchii. Wytłumaczenie się spod tego nazka jest krokiem wysoce nagannym i praktycznie, na skutek nacisku sąsiadów, środowiska, współpracowników — niemożliwe (...). Nacisk społeczny prowadzi do tego, że nie wypada nie mieć telewizora, trzeba jadać w odpowiednio drogiej restauracji, bywać w kinie raz w tygodniu. Ale nie zastępuje to, ani nie wyklucza kontroli policyjnej, tyłek wszechstronnej, co dyskretnej. Zwłaszcza, że kartoteka F.B.I. należy do najliczniejszych na świecie. Potężny kraj może sobie pozwolić na potężną policję”.

I dalej: „Panująca ideologia powodzenia prowadzi do tego, że człowiek, który się nie dorobił, który przez przekonania polityczne nie awansuje w pracy lub traci posadę, bez względu na swoje osobiste walory, inteligencję, odwagę, które mogą być bardzo wysokie, uważany jest za głupca i niedołęę. Nie wart jest współzycia, albowiem nie potrafi pilnować swoich interesów”.

S y s t e m p u n k t o w y: „Rasizm to cecha Ameryki jako całości. — Dotyczy on zresztą nie tylko Murzynów” (...). W amerykańskim Kotle narodowości nie mieszają się do końca i nie rozprężają bez śladu; można dzięki temu ustalić pełną klasyfikację narodów i ras. Najwyższe stają Anglosasi, po nich Holendrzy, Niemcy, Francuzi, wreszcie Poloności Włosi, Hiszpanie i dalej narodowości proletariatu — Grecy, Polacy, Żydzi i na

koncu „Kolorowi” — Chłoccy, Murzyni, Portorykańscy”.

Uniwersytet — oaza na pustyni: Przeważają opinie, że uniwersytety są oazami, niezwykle dynamicznymi ośrodkami, przeciwdziałającymi uniformizmowi życia i kultury. Sceptyk dodaje, że działają one w próżni. Fragment o pracy profesorów i studentów:

„Chciałbym naszych profesorów uniwersytetów i studentów posłać do Stanów Zjednoczonych, żeby tam nauczyli się pracować. Student amerykański płaci, a więc wymaga. W wielu uniwersytetach, w których byłem, dla profesorów, którzy w ciągu określonego czasu nie opublikują żadnej pracy, nie ma miejsca. Nic tu nie pomaga ich salety towarzyskie, sytuacja rodzinna i podobne łagodzące okoliczności obiektywne. Gdy u nas obywatel otrzymuje od państwa pieniądze za sam fakt istnienia, tam rząd wobec nikogo takich zobowiązań nie podejmował. Obywateli oczekiwac może tylko tego, na co sam zapracuje”.

Jeśli miarą pozycji jest dochód, nie dziwi uwaga humanisty: „Ludzie na co dzień nie czytają. Obszar spraw kulturalnych w życiu przeciętnego Amerykanina stanowi terra incognita. Znakomite owoce świetnych środowisk intelektualnych sumują się — moim zdaniem — dopiero na szczytach wytworzonej piramidy. W praktyce życia codziennego natomiast przedkanię tych idei jest minimalne”.

Czego się uczyć? Umiejętności intensywnej pracy i dobrej jej organizacji. Ameryka może dać nam jeszcze inną lekcję. Głos humanisty:

„Ameryka stanowi niepokojący przykład pewnych konieczności, których rad bym oświadczyć uniknąć, będąc obywatelem kraju małego, ale pozostawiającego swemu obywatelowi szeroki margines swobód i życiowych wyborów. Będąc w Stanach Zjednoczonych, obserwowałem z lekkim tendencją znużeniem dla tego kraju. Polega ona na przekonaniu o dziełowym posłannictwie, zobowiązującym do uszczęśliwiania i upodobniania świata według własnego modelu”.

Polityka przynosi dwie bardzo interesujące pozycje: artykuł T. Kołodziejczyka „Mieszkanca... a życie sobie” oraz pełny tekst polemiki między I. Erenburgiem i W. Jermilowem wokół książki Erenburga „Ludzie, lata, życie”.

Cieszy bardzo redakcję „Kamień”, że materiały naszego pisma mają powodzenie na terenie warszawskim. Bo oto w nrze „Współczesność” z 1-15. III br. znajdujemy reportaż Kazimierza Boska pt. „Ogrodenie”, który drukowaliśmy w zeszłym roku w „Kamieniu” (nr 24).

T. K.

KSIAŻKI NADESLANE

Wydawnictwo Łódzkie

- Leon Gomołicki — Wylaczenie
- Maria Opolska — Bożek ciepła rodzinnego
- Czesław Ostankowicz — Dziwny normalny świat
- Bernard Sztajnert — Narodziny Brunona Bundera
- Mirosław Cygański — Mniejszość niemiecka w Polsce centralnej w latach 1919-1939
- Paweł Korca — Studia i materiały do dziejów Łodzi

nich przyszli nauczyciele, następnie architekci i medycy.

BAROKOWY ZAMEK OSSOLINSKICH z XVII w. w Ujeździe i renesansowo-barokowy z XVI w. w Szydłowie znajdują się wśród 11 obiektów, które w tym roku będą remontowane z funduszy konserwatorskich kosztem 4,7 mln zł. W Ujeździe powstanie schronisko PTTK.

WARTOSC CZYNOW SPOŁECZNYCH na rzecz kultury w r. ub. wyniosła w województwie 3,6 mln zł. a razem z dotacjami (m. in. 2 mln zł od WRN) zebrano na utworzenie w maju Funduszu Rozwoju Kultury 12 mln zł.

PRAWIE 50 ŚWIETLIC buduje się, a na budowę 30 zbiera się materiały budowlane na terenie województwa.

W ZARNOWIE w powiecie opoczyńskim świetlicę otwierano wtedy, gdy zaczęło się kierownikowi. Przedstawiciel ZMW poskarżył się na sesji GRN. Rada, zamiast uporządkować sprawę, przestała zapraszać na sesje przedstawiciela organizacji młodzieżowej.

R Z E S Z Ó W

POD ZNAKIEM NOWYCH PREMIER rozpoczął rok 1963 Teatr im. Wandy Siemaszkowej. Obok „Świętoszka” Moliera (reżyseria dyr. Stefana Wintersa, scenografia prof. Otona Axera — laureata Ministra Kultury i Sztuki) przygotowano „Pierścien Wielkiej Damy”. Reżyserował utwór Norwida znany krytyk i teatrolog Józef Małiński, oprawę scenograficzną projektowała Irena Perkowska. Obydwa przedstawienia spotkały się z żywym zainteresowaniem publiczności.

Z ROZMACHEM REALIZUJE Biuro Wystaw Artystycznych obszerny plan swej działalności (73 wystaw indywidualnych i zbiorowych). W salach Muzeum Okręgo-

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU „KAMENY”

pod hasłem

„DZIEŃ POWSZEDENI NAUCZYCIELA”

ogłoszonego przez Wydział Kultury PWRN i Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie oraz Redakcję „Kamień”.

Na konkurs wpłynęły prace z różnych regionów Polski. Po zapoznaniu się z nimi jury konkursu w składzie: Edward Nadulski (Wydział Kultury), Jan Zaorski (Kuratorium) i członkowie Kolegium „Kamień”: Waldemar Babilec, Maria Bechczy-Hudnicka, Aleksander Gabrusiewicz, Jerzy Pleśniarowicz — przystąpiło na zebraniu w dniu 21.11.63. następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagrodę w wysokości 1500 zł

Kazimierzowi Górowskiemu (Krosno o. Wiskotów, woj. rzeszowski), godło „Kajtek”, za pracę pt. „Pamiętnik znaleziony w makulaturze”.

Dwie II nagrody po 1000 zł

Henrykowi Szybowskiemu (Starachowice, woj. kielecki), godło „Skorpion”, za pracę pt. „Owoce imaginacji”.

Zuli Brynek (Kraków), godło „Studentka”, za pracę pt. „Nie jestem w tej chwili...”.

Trzy III nagrody po 500 zł

Tadeuszowi Multańskiemu (Kamień Lubelski, pow. chełmski), godło „Ypsilon”, za pracę pt. „Pierwszy dzień rozmyślań”.

Danucie Górczyńskiej (Złotna, pow. Morąg, woj. olsztyńskie), godło „Stefania”, za pracę pt. „Początek drogi”.

Krzysztofi Majdzie (Kielce), godło „Króliczek”, za pracę pt. „Czekam nocy”.

Trzy wyróżnienia

Stanisławowi Lasockiemu (Jasło, woj. rzeszowski), godło „Janina”, za pracę pt. „Dzień powszedni”.

Mieczysławowi Wieliczce (Jasło, woj. rzeszowski), godło „Dorota”, za pracę pt. „Jedzenie miesiące trzech różnych lat”.

Elżbięcie Rosiak (Lublin), godło „Kryształ”, za pracę pt. „Wolę być średnią wyzłoczoną”.

Nagrody i wyróżnienia zostaną przesłane pocztą.

W każdym z najbliższych numerów „Kamień” rozpoczniemy druk nagrodzonych prac.

Wszystkim uczestnikom dziękujemy za udział w konkursie

N O W E KSIAŻKI LUBELSKIE

(Dokończenie ze str. 11)

Chłopska Organizacja Bojowa, na czele której stał: Aleksander Szymański, Michał Wójcicki i Stanisław Szot. Praca poświęca dużo miejsca działalności oddziałów GL i AL w powiecie krasnickim oraz problemowi reakcyjnego podziemia.

Kazimierz Myśliński: Wójt dziedziński i Rada Miejska w Lublinie 1317-1501. S. 110. 4 nb. Nakład 1990 egz. Cena 11 zł. Książka ta została wydana z dotacji Prezydium MRN w Lublinie i otwiera nowy cykl publikacji Polskiego Towarzystwa Historycznego — Oddziału w Lublinie pod nazwą „Studia nad dziejami Lublina i Lubelszczyzny”. Książka ukazuje dwa wieki wzajemnych stosunków rady miejskiej i wójtów w naszym grodzie. Przynosi ona wiele ciekawych materiałów do dziejów Lublina

wego otwario w styczniu ciekawa wystawa prac uczniów Państwowego Liceum Techniki Plastycznych w Sędziszowie Mip. i Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu. Ekspozycja z zakresu malarstwa, rysunku, rzeźby, grafiki użytkowej, kowalstwa artystycznego, techniki włókienniczych i fotografii artystycznej ukazują wartościowy i różnorodny dorobek młodych wychowanków średniego szkolnictwa plastycznego z Sędziszowa i Jarosławia.

W MIŁYM NASTROJU upłynęło w Rzeszowie spotkanie z Romanem Turkiem, autorem poczytnych książek „Moja mama, ja i reszta” oraz „W służbie najjaśniejszego pana”, zorganizowane przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną. Ewentualnie nowej opowieści Turka zostały w województwie rzeszowskim rozchwytywane w ciągu kilku dni. Pisarz zapowiada trzeci utwór związany tematycznie z rodzinnymi okolicami.

RZESZOWSCY RYBALCI po dłuższej przerwie wznowili działalność przygotowując pod kierunkiem Władysława Chłondnickiego dla uczestnika 20 rocznicy ZWM montaż pt. „Zrodził nas czyn”.

MIŁOŚNIKI JAZZU mieli okazję, podczas imprez eliminacyjnych Konkursu Zespołów i Solistów Jazzowych, słuchać przedstawicieli województw krakowskiego, lubelskiego, kieleckiego i rzeszowskiego. Koncerty odbyły się w sali Wojewódzkiego Domu Kultury.

WIECZÓR ROZMÓW O SZTUCE zorganizował w styczniu Oddział Rzeszowski ZPAP wraz z BWA. W inauguracyjnym spotkaniu udział wzięli: poeta Jan Bolesław Ożóg oraz artyści malarze: Marian Konarski i Franciszek Frączek.

L U B L I N

WYDZIAŁ KULTURY PWRN ogłosił konkurs otwarty na utwory związane tematycznie z Lublinem, pt. „Moje miasto w fotografii, piosenie i rysunku”.

od daty otrzymania lokacji (III) aż do wykupu wójtostwa przez radę miejską (1501).

Poniedziałek, 8. 11. 1 nb. Nakład 10 egz. Cena 3 zł. Kolejny, XIV tomik Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej stanowi i manach intygujących postoi kieleckich dotychczas pod nazwą „Poniedziałek”. Grupa ta ma swego opiekuna w osobie znane go pisarza i działacza Waldemara Babileca, zaś utwory jej członków wielokrotnie publikowała i publikuje nadal „Kamień”. Do tomiku, który został wydany przy częściowej pomocy Prezydium WRN Kielcach, weszły utwory 9 poetów: Beata Batak, Ryszarda Fitygl, Stanisława Gonia, Henryka Jachimowskiego, Ady Kucińskiej, Ryszarda Miernika, Bogdana Kternaka, Konstantego Tarnowskiego, Jerzy Zatorskiego. Warto dodać, że „Poniedziałek” jest to już drugi almanach poetycki młodych, jaki ukazał się w Wydawnictwie Lubelskim, zaś po publikacji poetów z Lublina i Kielc w najbliższym czasie ma się również ukazać tomik poetów białostockich.

E. R.

POLSKIE TOWARZYSTWO FIZYCZNE wspólnie z zakładami fizyki wyższych uczelni lubelskich, zorganizowało — jako roku — cykl pokąsów z fizyki. Pokąs mają na celu popularyzowanie fizyki zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej.

ZESPÓŁ Piesni i Tańca Ziemi Lubelskiej obchodził będzie wkrótce piętnastą rocznicę swego powstania. W okresie tym da 1400 koncertów w kraju i za granicą. Najbliższe występy przyniosą zespołowi milionowego widza.

„ZUCZEK” — to nazwa młodzieżowej kabaretu, który powstał przy Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie.

W LUBELSKIM ODDZIALE ZLP odbyły się wybory nowego Zarządu Oddziału. Prezesem ponownie został Konrad Bielski, do zarządu weszli: Zygmunt Mikulski (wiceprezes), Jerzy Księski (sekretarz), Wacław Gralewski (skarbnik) i redaktor naczelny „Kamień” Maria Bechczy-Rudnicka.

KOSZTEM CA 6 MLN ZŁ. hala sportowa przy ul. Lubartowskiej, w której mieściło się jednocześnie kino „Koziołek”, zostanie przebudowana na elegancki lokal kinowy o 800 miejscach. Po przekazaniu nowego kina do użytku, Wojewódzki Zarząd Kin zamierza przeprowadzić remont kapitalny kina „Wyzwolenie”. Zostanie tam m. in. zainstalowany ekran panoramiczny.

W RAMACH LUBELSKIEJ sceny amatorskiej wystąpiły w LDK studenckie zespoły teatralne: „Dren 59” i „Gong 73”.

STARANIEM „WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO” odbył się w Klubie MPiK „Wycieczka prozy lubelskiej”. W części artystycznej, ktorzy Teatru Im. Osterwy — L. Szczehówna i J. Cywiński czytali fragmenty nowo wydanej książki Konrada Bielskiego „Most nad czasem”. Następnie odbyło się spotkanie autora książki z publicznością.

Unia

Kronika kulturalna 4 województw

KLUB OŚWIATOWO - ROZRYWKOWY utworzyła Powszechna Spółdzielnia Spożywców w Łomży. W powiecie ma powstać w tym roku 7 świetlic kosztem 1 mln zł.

KOLA MIŁOŚNIKÓW TEATRU organizują Związki Teatrów Amatorskich i Teatr im. Al. Wegierki. Pierwsze powstało we wsi Długoleka w powiecie monieckim. Wkrótce po założeniu kola 16 jego członków odwiedziło teatr białostocki, zwiędzając także kulisy w czasie przedstawienia.

SPÓŁDZIELNIA „GROMADA” w ramach tzw. akcji „Sprzed chaty” przewiozła ze wsi na imprezy kulturalne w r. ub. 59 tysięcy osób. Największym powodzeniem cieszyły się spektakle Warszawskiej Opery Objazdowej.

SPOŁECZNE OGNISKO MUZYCZNE organizuje się w Łomży. Nauka — osobno dla dzieci i dla młodzieży — obejmuje fortepian, skrzypce i akordeon.

POWIATOWY DOM KULTURY w Siemiatyczach poza salą widowiskową jest w całości zajęty na mieszkanca prywatne. W kabinie filmowej znajduje się magazyn.

K I E L C E

TYLKO 250 szkół przysposobienia rolniczego oraz 6 średnich szkół rolniczych czynnych jest w województwie. Postuluje się ich poważne zwiększenie i utworzenie punktu konsultacyjnego krakowskiej lub lubelskiej Wyższej Szkoły Rolniczej.

PREZYDIUM MRN w KIELCACH wypłaca stypendia fundowane 51 studentom, w przyszłym roku ilość takich stypendiów wzrosnie do 100. Najwięcej korzystają z

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Kamień” * Redaguje Kolegium * Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich * Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7 * Telefon 36-45 * Redakcja rękopisów nie odsyła * Warunki prenumeraty: kwart. 12, półrocznie 24, rocznie 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu” zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu”. Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywana się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie 16,80; półrocznie 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmują PKWZ „Ruch”, Warszawa, ul. Wilcza 46. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch” Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubelska Drukarnia Prasowa. Zam. 568 15.II.63 N-3